

Wielkość

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dn. 11 stycznia 1953 r.

Nr 2 (388)



BOLESŁAW STRUŻEK

RYNEK — REGULUJĄCA ROLA PAŃSTWA — INTERESY CHŁOPÓW

(Na marginesie Uchwały Rady Ministrów z dnia 3 stycznia)

KAZDA gromada ma swoich Jankowskich — mało-rolnych chłopów, każda gromada ma swoich Parzyszków — średniorolnych chłopów, ma też swoich Bilińskich — kulaków. Jak w Polsce burżuazyjnej byli oni powiązani z rynkiem kapitalistycznym i jakie stąd wynikały konsekwencje ekonomiczne — klasowe? Jankowski, posiadający parumogów bezkonną gospodarkę, licząc rodzinę, znał tylko jedną dostępną drogę na rynek — przez sklep wiejski. Czwartka żyta była przez samego „gospodarza” wyznaczona do sklepu na konto „kredytu”, nielegalnie wędrowały „garncie” zboża również do sklepu, jedynie Jankowska docierała bezpośrednio na miejski targ z osieką masła, półkopkiem jaj czy kurą. (30 km w obie strony). Z drugiej strony ta sama Jankowska niejednokrotnie „w tygielku” przenosiła węgle do rozpamiętania ognia (zapalek nie śmiała już pozyczyć, c. niejednokrotnie w rodzinie Jankowskich jedzone były kartofle bez soli przy świetle palącej się „szczyptki”. Słowem, od której strony nie podejdziesz, — „studnia bez dna”. Nigdzie nie widać wyjścia. Pod jednym tylko względem „gospodarstwo” Jankowskich było wysoko-towarowe — pod względem sprzedaży pracy ludzkiej.

W rodzinie Parzyszków mniej od-wiedziano sklep wiejski. Ale za-raz po sprzedaży, przez parę pierw-szych miesięcy jeżdżono z „korca-mi” na jarmark. Nie robiono tego b. „ryśnie”. Owszem, Parzyszek lu-bił rachunek. Po sprzedaży wykazał — tyle na zasiew, tyle na chleb, tyle na sprzedaż. Ale mimo ra-chunku, zawsze sprawdzała się ty-lko jedna popycja i to częściowo; zboże na zasiew (z jeździem i owsem już nie zawsze). Nato-miast zawsze zwiększała się część przeznaczona na sprzedaż, zmniejszała się część przeznaczona na chleb. Bo albo powstawały „nagłe potrzeby”, albo cena okazała się niższa niż Parzyszek rachował, i trzeba było wozić nowe korce. A jeszcze później Parzyszek liczył: jedno pieczywo na Wielkanoc, jed-no na Zielone Świątki i ostatnie na żniwa. Każdy rok wymagał większej ilości „korcy” i w ry-nalejszym terminie sprzedaży. Parzyszek szukał dalej wyjścia, próbował i hodował trzodę, ale tak się składało, że kiedy świnię „wychodziły” — wtedy cena była bardzo niska. Próbował przywrócić równo-wagę swego gospodarstwa przez sprzedaż kawałka ziemi; nie na długo starczyło. Gospodarstwo szło ku upadkowi.

Inaczej z Bilińskim. Tu zawsze wszystko było w porę. W porę szły tonny zboża Bilińskiego do „Rolnika”, w porę do rodzin Jan-kowskich trafiały „chude” ciwiarki, „zgonnicy” pokrywali płacili, wyż-sze ceny za kilo żywności, bo „stra-szył” reżnierz w Lublinie, nigdy nie kupowali „na oko”, bo Biliński miał dobrą wagę. Biliński nigdy nie odwiedzał sklepu, wpadał na-tomiast do spółdzielni spożywców, bo tam był prezesem Rady Nad-zorczej. Biliński razem z Parzys-kami przeklinał ceny, przeklinał wyższy masła, ale zawsze był na wierzchu, śrubując rynek miejsco-wy, każdy rok przynosił coś no-wego, rozszerzając gospodarkę Bi-lińskiego.

Tak działo się nie tylko w Sobolewie, tak układały się stosunki we

wszystkich wsłach Polski kapitali-stycznej. Kapitalizm włączał w swoją ekonomikę gospodarstwa chłopie głównie poprzez rynek ka-pitalistyczny, siłami napędowymi tego procesu włączania była odpo-wiednia polityka ekonomiczna pań-stwa burżuazyjnego, polityka podatkowa, kredytowa, lichwiarska. To włączenie w ekonomikę kapita-listyczną gospodarstw chłopie, nieuchronnie prowadziło do wzros-tu nędzy w rodzinach mańrolnych chłopów, do obniżania ich stopy życiowej, do wzrostu zacofa-nia kulturalnego, nieuchronnie ol-brzymia większość średniorolnych rodzin chłopie spychało do po-ziomu życia biedy wiejskiej, u-macniało ekonomiczną pozycję ku-lactwa, zwiększało możliwość wy-zysku z jego strony.

*

Z inicjatywy władzy ludowej, pod kierownictwem klasy robotni-czej i przy poparciu mas pracują-cych chłopów została zlikwidowana własność obszarowa i wielkich kapitalistów w mieście. Powstał nowy układ gospodarki socjali-stycznej; w mieście bardziej rozle-gły i szybszy się rozwijał, na wsi w stanie załagowym. Na wsi zachowała się drobna własność chłopów mańrolnych i średniorol-nych, pomnożona przez reformę rolną oddłużenie wsi i pomoc pro-dukcji państwa. Zachowały się również gospodarstwa kulackie. Względnie wieś drobnotowarowa w całości ekonomiki narodowej można było tylko przy pomocy wymiany towarowej, tzn. w oparciu o rynek, ceny i pieniądź. Zachowanie wy-miany towarowej było potrzebne zarówno Jankowskiemu, Parzysko-wi, jak też i Bilińskiemu. Wspólna bowiem podstawa tych trzech róż-nych gospodarstw jest prywatna własność środków produkcji. W fa-bryce opartej o państwową, socja-listyczną własność środków pro-dukcji poszczególne robotnik i gru-py robotników nie produkują z myślą o sprzedaży wytworów swej pracy. Motywem ich działalności produkcyjnej jest bezpośrednie za-spokojenie potrzeb społeczeństwa. Natomiast tak Jankowski, jak Pa-rzyszek produkują przede wszyst-kiem z myślą zaspokojenia swoich osobistych potrzeb, Biliński zaś — głównie z myślą o zysku spekulacyjnym.

Jaki był klasowy postulat Bi-lińskiego w odniesieniu do rynku, jaka była jego klasowa koncepcja wymiany towarowej? Była to kon-cepcja żywiłowa handlu, koncepcja kształtowania się cen jed-nej wg. prawa podaży i popytu, z niskimi cenami po zbiorach, z wy-sokimi cenami na przedmoku, z nieograniczoną niemal możliwością podnoszenia tych cen. Ta koncep-cja otwierała przed Bilińskim wielką perspektywę... Zlikwidowany wszak został główny konkurent, hrabia Żółtowski w Kocku i... na Budach oraz Zamojski w Kozłowie, a Parzyszek, a tym bardziej Jankowski — to żadni konkurenci. Biednych do „odrobku” na wsi nie zabraknie, głodnych w mieście również. Koncepcja ta odpowiada-ła temu wszystkiemu, co było sta-rego i wrogięgo w naszym spo-łeczeństwie. Odpowiadała ona ele-mentom kapitalistyczno — speku-lanckim miasta, — wyłączonej

burżuazji, gdyż nieuchronnie do-prowadziła wcześniej czy póź-niej do pełnej restauracji stosun-ków kapitalistycznych. Produkcja socjalistyczna w tej koncepcji, to „opłacalny” czasowo dodatek do e-konomiki kapitalistycznej. Ideo-logowie „ex katedra” Wincenty Styś i dr. Rajmund Buławski sta-li na gruncie tej koncepcji, gdy twierdzili: „gospodarstwo to (ku-lackie — S. B.) stosują najbardziej ekonomicznie czynnik ludzki, wy-korzystując najlepiej kapitał stały, odgrywa dużą rolę w zaopatry-waniu miast i wojska w środki ży-wności, umożliwiają kształcenie dzieci w zakresie rolnictwa i in-nych zawodów, ułatwiają w ten sposób wytwarzanie się z jednej strony warstwy postępowych rolni-ków (tłumacz — kapitalistycznych — S. B.), z drugiej strony silnego mieszczaństwa”.

Tę koncepcję państwo ludowe przeciwstawiło całkowicie różną or-ganizację wymiany towarowej mi-ędzy miastem i wsią, takiej wymia-ny towarowej, która by najpełniej w warunkach okresu przejściowego realizowała materialne interesy klasy robotniczej, materialne in-teresy chłopów pracujących, którzy umacniała w miarę swego rozwoju sojuszu robotniczo — chłopie, która by służyła nie interesom kapitali-zmu, a interesom socjalizmu. Ten naczelny postulat towarzyszy histo-rycznemu kształtowaniu się u nas wymiany towarowej między mi-astem i wsią.

Szczególną właściwością wymia-ny towarowej w warunkach okre-su przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu jest ograniczenie jej żywiłowego kształtowania się, za-pewnienie w tej wymianie regu-lującej roli państwu ludowemu. Ażeby jednak państwo mogło wy-konywać taką rolę, jak o tym przekonywają nas kilkulatnie na-sze doświadczenia, potrzebne są odpowiednie warunki ekonomiczno-polityczne. Potrzebny jest powo-zy wzrost produkcji przemysłu so-cjalistycznego, potrzebny jest wzrost współczesnego aparatu handlowego, zastąpienia nim kapita-listycznego aparatu handlowego, potrzebny jest powozy wzrost produkcji rolniej socjalistycznej i produkcji chłopie drobnotowa-rowej, jako produkcji sojuszniczej.

*

Zacznijmy od sprawy ostatniej — chłopiejskiej produkcji drobnotowa-rowej, jako produkcji sojuszniczej.

W 1950 r. po opłaceniu podatku gruntowego przychodowość gospodar-stwa Jankowskiego wzrosła o 2/5 w porównaniu z 1949 r. (w skali krajo-wej przychodowość mańrolnych wzrosła o 38,9 proc.) przychodowość gospodarstwa Parzyskiego wzrosła o blisko 1/3 (w skali krajowej przycho-dowość średniorolnych wzrosła o 29,5 proc.), a przychodowość gos-podarki Bilińskiego wzrosła o 1/20 (w skali krajowej w gospodarstwach ku-lackich o 46 proc.).

1/3 i 3/5 to wielkości zbliżone (5 i 6 piętastych). Jeśli więc przyjąć dla schematycznej orientacji, że gos-podarstwo średniackie większe jest tyl-ko dwa razy od mańrolnego, to w

*) (Materiały z III Sesji Rady Naukowej dla Ziemi Odzyskanych).

przychodowości średniacka ujrzymy już duże rezerwy towarowe, dużą za-możność i nie małe parcie na rynek. O losie tych nadwyżek nieco później...

Rok 1950 był rokiem nowego prze-łomu dla rezerw sił roboczych w ro-dzinach mańrolnych. Zaczęło się wielkie budownictwo przemysłowe i lata następne zaokrągliły grupę chłop-ów — robotników do miliona, a wzrost zatrudnionych w układzie so-cjalistycznym podniósł o 3,5 milio-na. Zmieniła się zatem struktura za-wodowa i klasowa narodu.

Dla mańrolnych oznaczało to wzrost olbrzymi dochodów pienięż-nych sięgający w ciągu ostatnich 3 lat — kilku miliardów złotych! I tu zatem uzupełniona została zamoż-ność i rozwinęło się parcie na rynek zakupu.

Dla powiększających się miast, dla wzrastającej dwukrotnie klasy ro-botniczej jeszcze większego znacze-nia nabrał problem produkcji rolniej. A dla całej gospodarki narodowej szybki rozwój przemysłu i rolnictwa i to taki ich rozwój, aby przyspie-szał połączenie rolnictwa i przemy-słu w jednolitą całość gospodarczo-narodową.

Celowa, gigantyczna budowa so-cjalistycznego przemysłu z góry o-czywiście zakładała nierówny, tzn. niższe dla rolnictwa wskaźniki roz-woju w okresie Planu 6-letniego. Ale też tym ostrzej stała się sprawa osią-gania przez rolnictwo poziomu wskaźników jego planu, a więc wy-dobycia się z nadmiernego opóźn-e-nia się rolnictwa.

Już koniec roku 1950 ukazał wsi jak skokowo rosła potrzeby rynku miejskiego i jak bardzo trzeba wzmocnić produkcję rolną dla braci ro-botników. Rok 1951 przyniósł kata-strafną popych. Pogłębiła ona i zaostriżyła trudność w zaopatrze-niu klasy robotniczej. Zaostriżyła, bo ta-kie warunki sprzyjały dla wzrostu cen wołnorynkowych na artykuły rolne. A wzrost ten spotęgowała roz-wyższona spekulacja i wroga popych, Kulak i spekulant znów wychylił leń. Kulak, ograniczony w nadmier-nych zyskach i wyzysku w samej produkcji, wykorzystał procesy prze-mian struktury klasowej naszego społeczeństwa, proces gwałtownego powiększenia się ludności miast. Tu otworzyła się dla niego szelczyna, aby w spójnie ekonomiczną miast i wsi, wnieść anarchię wołnorynkową, e-lementy żywiłowości i spekulacji.

Robiąc znów paskarskie interesy, wzmacniał elementy kapitalistyczne, stawał się wespół ze spekulantem niebezpieczeństwem dla spójni ekonomicznej między miastem i wsią, opartej o stały i określony wzrost produkcji tu i tam, opartej o wymianę wzajemną, w której, jeśli idzie o wieś, odbiorcą w pierwszym rzędzie miała być pod-stawowa masa chłopstwa pracujące-go. Ożywił się też „w gębę”. Słyszeliśmy Bilińskich. Dobrze rozumieli, że na rynku państwo ludowe ma pewne zabezpieczenie dla świata pracy w postaci dostaw obowiązkowych, i że logika rzeczy wymaga wzmocnienia tej więzi, spojęcia nią mas chłopiejskich ze swoim państwem, widział, że rozwija się kontraktacja, ta wyraźna forma umów dyktowanych z państwem, ginie zatem w chłopie dusza handlarza a rozwija się producenta, który coraz chętniej

idzie na umowy i dostawy związane. Cóż więc rozgłaszali Bilińscy? Za-mienił hasło „więcej z hektara” na ha-sło „mniej z hektara, a więcej za hektar”!

Trudny był rok 51, rok po-suchy. Ale Jankowski nie zmienił swego poglądu: dwóch jego braci pracujących w przemyśle, rodzice i siostra gospodarują w Olsztyńskim. Jankowski nie osłabił sojuszu robot-niczo-chłopskiego, nie rozluźnił spój-ni między klasą robotniczą i chłop-stwem.

Parzyszek? Który? Ten mniejszy — podobnie. Ten większy, jak mu się wydawało nadal był za sojuszem, za jego umacnianiem, ale co do spójni ekonomicznej? „Nadarza się okazja, pominąć? Ma to sam Biliński korzy-stać?” Skorzystał i on. Tak to na-

Rok	Zbiór z 1 ha	Zbiór globalny	na zasiew		obowiązkowe dostawy		do osobistej dyspozycji	
			q	%	q	%	q	%
1951	11q	44q	7	14%	14	32%	23	52%
1952	13q	52q	7	13%	14	27%	31	60%

stał znaczny wzrost dochodów za-możniejszych chłopów, kosztem u-szczuplenia dochodów klasy robotni-czej, a został obrocony przeciw mańrolnym na rynku zakupu towarów konsumpcyjnych.

*

Należy dziś przypomnieć, że wła-snie już w 1951 r., kiedy podniosła się rozwyzdrzona spekulacja, kiedy szerzyła się zaczęła anarchia wołn-orynkowa, mało i średniorolni chłopi w oparciu o pomoc klasy robotniczej, poprowadzili walkę z kulactwem i spekulantstwem, wygrywając wielką bitwę klasową o planowy skup zbo-ża i kartofli. W toku tej bitwy od-krywali prawdziwe oblicze gos-podarczej i politycznej dywersji kulac-twa. Oczom ich ukazały się „maga-zyny” deficytowych towarów prze-mysłowych, ukazały się zapasy zbo-żowe, przeznaczone na spekulację. U takich właśnie Bilińskich, którzy w spółdzielni mawiali ostatecznie, „Na to mi przyszło, że chleb muszę kupować... bo za robotnicze nawet kłódz w Kamiance nie płaci tyle, co ja”.

Trzeba też przypomnieć, że kiedy Rząd zastosował w 1951 r. częściową reglamentację podstawowych pro-duktów konsumpcyjnych, aby doraź-nie zahamować spekulację i opano-wać zakłóceną, a niezbędną równo-wagę w r. woju planowo regulowa-ną przez państwo gospodarki naro-dowej, to w wielkiej i zwycięskiej bitwie chłopstwa o planowy skup zboża wyraziła się druga strona po-lytyki ekonomicznej państwa i nowe jej osiągnięcia, albowiem postępo-wały wzrost wiązania się drobnoto-warowej gospodarki chłopiejskiej z państwowym i spółdzielczym han-dlem przez rozwój kontraktacji i po-nadplanowych dostaw. I listy chłopskich korespondentów poprzedziły w swoich projektach ustawy pań-stwowe o obowiązkowych dostawach mięsa i mleka.

Wyraziło się w tych projektach zro-zumienie dla nowej ekonomiki, ści-słej łączącej drobnotowarowy układ w rolnictwie z układem w socjali-stycznym przemyśle. Wyraziło patrio-tyczne pragnienie ubezpieczenia kła-sy robotniczej, która w daleko więk-szej mierze przyczynia się do rozbu-dowy gospodarki kraju i wyraziło potwierdzenie wezwania, już dawniej

przez państwo rzuconego: „więcej z hektara”, jako jedynie słusznej dro-gi do podniesienia własnego dochodu i wytworzenia akumulacji dla rozwoju siły i wielkości naszej oj-czyny.

Należy więc przypomnieć i to, że planowy skup i obowiązkowe dostawy, przy równocześnie wyższym po-ziomie cen na artykuły rolne kon-traktowane, stwarzały bodźce do wzrostu produkcji oraz realne moż-liwości jej podniesienia. Ta bowiem regulująca działalność państwa uzu-pełniała się rosnącą pomocą dla pro-dukcji chłopiejskiej w maszynach POM-u, GOM-u, zaopatrzeniu w środki produkcji, obsłudze agrotech-nicznej itd.

I nasz Parzyszek z Sobolewa może poświadczyć skrzętnymi zapiskami, jak to jest z jego gospodarką.

Tabela ta, wyprowadzona z jego zapisów wskazuje, że Parzyszek był zainteresowany we wzroście global-nej produkcji zboża. Im większa pro-dukcja, tym bardziej obniżał się od-setek zboża, przeznaczanego na skup, tym bardziej zwiększała się część produkcji zboża, pozostająca do jego osoli stęj dyspozycji. Wraz z tym wzrastała możliwość rozszerzenia ho-dowli, a więc dalszego wzrostu oso-bistych dochodów i wszechstronne-go rozwoju produkcji rolniej.

*

Toczyła się więc na przestrzeni o-statnich trzech lat, pierwszych trzech lat Planu 6-letniego, walka Janow-skich i Parzyszków z Bilińskimi na wsi.

Nadmierne opóźnianie się rolni-cтва trwa jeszcze, ale w wysiłkach Janowskich i Parzyszków widać dy-namikę wzrostu. Tej dynamice prze-ciwnie chcieli Bilińscy spekulację i anarchię na rynku, aby zdemobil-i-zować rozpęd produkcyjny chłop-stwa. Częściowa reglamentacja o-kiełznała ich na trochę, ale i przy sztywnych, wyrównawczych cenach wolny rynek nie przestał być ich lu-pem. Na dłuższą metę mogli liczyć, że proces przepompowywania części dochodów klasy robotniczej do kie-szeni kulaków i zamożniejszych śred-niaków przybierze większe rozmiary, hamując rozwój produkcji u średni-aków i zainteresowanie ich osobiste dia wzrostu produkcji. Chcieli liczyć na osłabienie produkcji u mańrol-nych chłopów — robotników, których wzrost dochodów pieniężnych z pra-cy w przemyśle mógł prowadzić do zaniedbania gospodarki Chłoci li-czyć na „zamkniętą perspektywę” rynkową dla chłopów pracujących, tych porządnych, którzy poza sku-pem i kontraktacjami widzieli nie wolny rynek a legalny, albo i czarny. A przy braku perspektywy na indy-widualnego chłopie bodźce do wzma-gania produkcji. Dokładali się też Bilińscy wespół ze spekulantami miejskimi, aby chłopom albo usuwać z przed nosa towary deficytowe, al-bo sprzedawać po rozwyzdrzonych ce-nach.

Robili co mogli na rynku półlegal-nym aby, odbierając robotnikom

(Dokończenie na str. 7-ej)

Laureaci Nagrody Stalinowskiej

PŁOMIENNE SERCE

KROTKA notatka w encyklopedii zaczyna się od słów: „Robeson, Paul, ur. w 1898 r., w Princeton, stanu New Jersey, jako syn zbiegłego niewolnika...”

Pierwszy statek osadników przybił do brzegów Ameryki Północnej w roku 1606. Pierwszy statek z niewolnikami zawinął w roku 1619. Budując „nowy wspaniały świat” człowiek budował piekło. Miał już w tym doświadczenie. „Albowiem — pisze Howard Fast — zanim jeszcze było piekło chrześcijańskie w księgach i kazaniach — istniało piekło na ziemi, które człowiek widział, oglądał i znał aż nazbyt dobrze. Gdyż jest to w naturze człowieka, że pisać umie tylko o piekłach, które sam najprzód stworzył.”

Czymże jest piekło? Rozpoczyna się kiedy konieczne i proste akty życia stają się potwornością. Wiedzą o tym dzielił się przez wszystkie wieki ci, którzy poznali smak piekła — dzieła ludzi na ziemi. Kiedy strach jest poruszać się, oddychać, patrzeć i myśleć.

Niewolnicy murzynscy poznawali piekło każdym ruchem, oddechem, spojrzeniem, każdą myślą. Nie poznawali go z książek. Za to groziła śmierć. Nawet gdy książka była Ewangelia. Ci, którzy wydali zakaz, wiedzieli co czynią. Nie było rzeczą bezpieczną uczyć Murzynów, że przyjdzie czas, kiedy „pierwszą będą ostatnimi, a ostatni pierwszymi”. Mogliby chcieć to chwile przyspieszyć.

Istotnie tak czynili. Murzyni szli w pierwszym szeregu walki o wolność Ameryki. „Świat pracy nie może wyzwoleć się w skórze białej, pozostając napiętnowany w czarnej” — pisał Marks. I Murzyni walczyli o wolność własną, bez której nie mogło być wolności ich kraju.

„Zdobyci swą wolność za wszelką cenę — mówi współczesny uczonec — kupowali ją kiedy mogli, popelniali samobójstwa, odcinali sobie palce i dłonie, odmawiali pracy i znosili tortury. Uchodzili na bagna i tworzyli tam oddziały bojowe, wchodzili na ziemie, gdzie panowała już wolność, przylgali się do wkraczających wojsk, uchodzili do Indian, Kanadyjczyków, Holendrów, Francuzów, Hiszpanów, Meksykanów, do stanów północnych — i starali się tam o zebranie pieniędzy na wykupienie z niewoli rodziców, żon i dzieci. Działacze murzynscy krążyli od miasta do miasta — Douglass, Still, Allen, Hall, Stewart, Lane, Bibb, Northrup, Tubman, bohaterka Harriet Tubman, o której po dziś dzień krąży legenda, która sama wyzwoliła tysiące współbraci. Walker, Garnet, Remond, Purvis i legion innych — agitując, uświadamiając, opisując i ostrzegając. Pisyli broszury, listy otwarte i książki, głosząc prawdę o reformie, lub do powstania. Raz po raz organizowali powstania i sprzysiężenia, sami lub wspólnie z białą biedotą. A zwolici zamordowanych meczenników jeszcze nie ostrygli, gdy powstawali nowi bojownicy, by krew swą i życie oddać w tej walce — Denmark Vesey, Nat Turner i niezliczone mnóstwo nikomu nieznanych Grabielów, Jacków, Arthurów, Tomów, Patrików, Samów, Tonich, Greenów, Copelandów...”

„Oddziały murzynskie zawsze wykazywały najwęższe miasteczko” — stwierdzał generał Rufus Saxton. Pułkownik Thomas W. Higginson pisał w lutym 1863 r.: „Byłoby oczywistym szaleństwem podejmowanie z najdzielniejszymi nawet oddziałami białych, to czego pomyślnie dokonał samemu przy pomocy wojsk czarnych”. Świadectw takich można by przytoczyć wiele. W wojnie ostatecznej, wojnie z faszystem, Murzyni walczyli ofiarnie i bohatersko w nadziei, że bliżej jest dzień, kiedy ojczyzna uzna ich prawa, a współobywatel nie zaprzecza im równości. Istotnie, dzień ten może być bliższy niż ludzka „władza dzisiaj” si USA.

Syn zbiegłego niewolnika miał we krwi tradycję walki. Rozpoczął ją wcześniej, już z chwilą wejścia w życie. Murzyn nie może zresztą ISC przez życie inaczej, musiałby pisać. Po ukończeniu studiów Robeson wstąpił na scenę. Jest bowiem nie tylko wielkim śpiewakiem, ale i wielkim aktorem. Szczyty sztuki osiągnął w głosnej sztuce O'Neill. EMPEROR JONES pisaną w czasach, kiedy O'Neill nie odróżniał jeszcze barwy krwi murzynskiej od „białej” (te umiejętności osiąga się dopiero po długotrwałej transfuzji dolarów). Emperor Jones to nie mały bezresztu monolog w 8 krótkich odsonach. Gra Robesona wywiera ustraszające wrażenie. A jest nie tylko osiągnięciem scenicznym, ale i aktem walki o godność Czarnego Człowieka.

W walce tej Robeson odniósł wielkie sukcesy. Rządziła ona każdym krokiem, oddechem, spojrzeniem, myślą. Współpraca wielkość swej ojczyzny walczy z tymi, co mu zaprzeczają w niej miejsca. W tych czasach świetny poeta murzynski, Langston Hughes wolał:

Jam jest ten, co opuszczał ciemne wybrzeże Irlandii, i równiny Polski, i łąki zielone Anglii, i wydarty Czarnej Afryki brzegom przyszedłem



Paul Robeson

Wybudować „ojczyznę wolnych”. Wolnych?

O, niech Ameryka będzie znów Ameryką —

Krajem, którym nigdy nie była —

Lecz będzie —

Ziemią, gdzie każdy jest wolny.

Ziemią biedaka, Indianina, Murzyna

Krótkim wytworzył Amerykę... Nie, nigdy Ameryka nie była dla mnie Ameryką.

Nie była moją Ameryką —

Ale przysięgam —

Będzie!

Robeson śpiewem swym głosił tę prawdę całemu światu.

Przyszła wojna. Pieśń Robesona sięgnęła poprzez oceany. Śpiewał Amerykę wolnych, śpiewał chwałę wielkiego narodu, który niegdyś posługi królów przetapiał na kule rewolucji, a teraz, choć sam w niewoli, walczył o cudzą i własną wolność.

Aż przyszedł pokój — pokój zimnej wojny. Apokalipsa zalewa Amerykę. Z drapaczy Wall Street wytrysła pamiot zbrodni, w orgii fallicznej prując brudne niebo New Yorku, by cuchnącym strumieniem napalmowej śmierci opaść na krańcach globu.

W porcie nowojorskim robotnicy walczą o pokój. W stalowniach Pittsburga, w reżniach chicagowskich, przy konwojach Forda i General Motors w Detroit — budzi się Druha Ameryka. Głos jej dławci gruby powróż policyjnego terroru, tłumie lepka wata propagandy płynącej ze wszystkich głośników, ze szpał gazet, z ekranów i kazalnicy. Ale niewstając płomień buntującego się sumienia kraju przepala ją warstwą po warstwie.

Robeson, Du Bois, Charlotta Bass, Pettis Perry, Lloyd Brown, Henry Winston i tysiączne zastępy mniej znanych działaczy murzynskich dają świadectwo słowom Langston Hughesa, że Ameryka, którą tworzyli i tworzą, będzie znów Ameryką. I że wielkim zaczynem wolności tego kraju są jego obywatele murzynscy. Odwaga wystąpić, odwaga fizyczna — wobec groźby faszystowskich terrorystów i sprzysiężonej z nimi policji, ofiarności i niezmordowanej energii, Paul Robeson — podobnie jak W.E.B. Du Bois — dorasta dzisiaj między olbrzymią historią Stanów Zjednoczonych, jednego z największych Amerykanów i największego murzynskiego rewolucjonisty — Fredericka Douglassa.

Naszych pieśni śpiewać nam nie dają... Boją się, bracie-Murzymie, Naszych pieśni boją się, Robesonie!

pisał z celi więziennej Nazim Hikmet. Rząd Trumanowa boi się śpiewaka. Departament Stanu odebrał mu paszport. FBI zabrania jego koncertów. Można kazać zamknąć głosowi, niepodobna zatrzymać bicia serca Ameryki. A gdy bije ono w rytm pieśni pokoju, którą tępy policjant chce wtłoczyć w gardło pieśniarza — pieśń rozbrzmiewać będzie nawet bez słów.

Gdy Ameryka była jeszcze Ameryką, przed z górą stuleciem, pisał wielki Walt Whitman:

„Nadchodzi czas, kiedy wojna, ze swym orszakiem krwawych okropności, będzie obyczajem odrzuconym przez narody ziemi. Nowa i lepsza filozofia ukazuje jakim złem jest zabójstwo i masakrowanie braci pod pozorem jakichś sporów między władcami — i topi starożytne przesady w tym względzie, jak ciepło wiosenne topi zamarzłą glebę. Ten kto kocha swój lud, czyliż nie widział wokół siebie tysięcy ludzi, których płomienne serca wgniotła w kurz żelazna stopa uciśku? Czyż nie widział jak króle i kapłani nadchodzą piękne okolice globu, kuja łańcuch i utwierdzają jarzmo? I czyż nie odciął, że lepiej jest żyć w pałacych technium walki, niżli w niewolnictwie? Walki o to, by nowa filozofia zwyciężyła w pełni i panowanie pokoju między ludźmi nigdy zakłócone już nie zostało.”

Zbliża się wiosna pokoju. A płomienne serce pieśniarza swym technium gorącym przyspiesza jej nadejście.

ANDRZEJ SKIBA

GEORGE BIDWELL

„Z B R O D N I A” I K A R A

KARTY te są nabrzmiałe jeszcze jedno pytanie — jakie są losy obecne przywódców Brygady Lincolna? Są wszędzie, gdzie wolnościom ludzi zagraża niebezpieczeństwo, wznoszą sztandary demokracji, gdziekolwiek faszysty chcą ją zadławić, jak w 1936 — są bojownikami pokoju i wrogami faszystów. Tworzyli milowy krąg ochrony słynnego koncertu Robesona w Peckskill, byli na sali sądu, przed którym postawiono Roberta Thomasona i Johna Catesa. Niedawno znów pięciu z nich osadzono w więzieniu za akcję pokojową, za zwalczanie faszystów. Wyrok najcięższy, dzięki wyrokowi dwudziestu lat więzienia — niemal dożywocie — spotkał ciebie i robotnika stalowni, podpułkownika i jednego z ukończonych dowódców Brygad Międzynarodowych — Steve Nelsona.

Za co sąd Stanów Zjednoczonych wymierza dwadzieścia lat? Ze swej celi więzienia Allegheny w Pittsburgu (Pensylwania) Nelson pisze do przywódcy brytyjskiej klasy robotniczej, Williama Gallachera: „Zarzucono mi w akcie oskarżenia, że przeciwstawiłem się wojnie na Korei i że zbierałem podpisy pod Apelem Sztokholmskim. Przysięgam, że jestem przeciw wojnie na Korei, ale przypomniałem, że przestępstwo zaszło na ławie oskarżycielskiej. Za to do statku 20 lat”.

Taka jest w USA kara za opór narastaniu faszystów na ziemi Lincolna, za opór stawianym prowadzeniu i podtrzymywaniu agresji i wojny na Korei, w Vietnamie, Indochinach, Malajach, podtrzymywaniu Franco, Tito i Ciang Kajsze-ka, kara za opór stawianym rozpętywaniu odwołowej wojny w Eu-

ropie, do czego zmierza odbudowa Wehrmachtu.

Natychmiast po wyroku wtrącono Nelsona do pojedynki, gdzie rola się robiła. Zabroniono mu spacerów na podwórzu więziennym, jako pożywienie dostaje chleb chudą kaszę i lurowatą zupę. „Do-kładnie tak samo traktował więźniów — antyfaszystów Mussolini” — pisze Nelson.

Daleki jest jednak od rozpacz, choć Sąd Najwyższy USA odrzucił jego odwołanie. Ze swej samotnej celi wspomina, bojując antyfascystą, pisze listy pełne nadziei i otuchy, śle wezwania do wszystkich ludów świata i nawołuje do przeciwstawiania się wszystkim siłom i przy każdej okazji próbom imperialistów zdławienia walki o pokój, walki z odrastającym faszystem. W liście do Gallachera ten prawdziwie świetny Amerykanin mówi: „Organizujcie grupy dla wsparcia naszej walki”. A w liście do byłego korespondenta angielskiej agencji Reutersa, Johna Peeta, który w 1950 r. otrzymał prawo azylu w NRD, Nelson zwraca się już nie tylko do towarzyszy z Brygad Międzynarodowych: „Pewien jestem, że robotnicy ze związków zawodowych i młodzież, zwłaszcza młodzież, chętnie nam dopomogą. Nie pozostawiaj tej sprawy troję paru osób”.

Nelson zwraca się do każdego z nas o poparcie go i poparcie innych przywódców klasy robotniczej w USA w walce z faszystem, walce z knutami na Wall Street planami III wojny światowej, walce za wielką sprawę pokój: „Przeczytałem niedawno ostatni list Thaelmanna, pisany w hitle-

rowskim więzieniu. To przejmujący list. Pomyślałem, że gdybyśmy mieli się zdobyć na nieco większy wytek, kiedy był jeszcze czas (przed wojną) byłoby go uratować. Mówiąc „my” mam na myśli międzynarodowy proletariatus. Nie-estety w owym czasie nie uświadamialiśmy sobie w pełni co znaczy faszysta. Teraz jednak cały świat powinien już o tym wiedzieć. Możecie pomóc.”

Istotnie możemy pomóc. I właśnie w ten sposób, jaki wskazuje Nelson — przez organizowanie protestów przeciw brutalnemu skazaniu człowieka, który we wspólnej nam wszystkim sprawie — i jego, i Twojej, i mojej, i każdego z nas — walczył tak bohatersko, walczył nawet teraz w więzieniu i walczyć nie zaprzestanie. Protesty należy adresować: Governor. Fine, Pennsylvania State Capital Harrisburg, Pennsylvania, USA.

Na Kongresie Wiedeńskim wzniosły ostrzegawczą dłoń narody świata. Wzniosły się miliony rąk zjednoczonych w jedno, miliony rąk ludzi wszelkich przekonań politycznych i religijnych. My szeregowi w walce o pokój, musimy wykazać imperialistom USA, że nie przestaniemy walczyć. Słowa Nelsona, słowa Johna Gates, Roberta Thomasona i tylu innych więźniów za to, że stali w naszych szeregach. Uwiecznijmy dlatego, że walczyli o wolność, demokrację i pokój biorąc za dewizę słowa Toma Paine’a: „Ojczyzna moja jest wszędzie, gdzie nie masz wolności”.

George Bidwell

W IRAKU TEŻ SA KAMIENIOŁOMY...

ZBIGNIEW ZALEWSKI

W IRAKU TEŻ SA KAMIENIOŁOMY...

Ubrzegu Eufratu rozbito biwaki. Znowu obcy żołnierze rozgościli się między wzgórzami. Kanakini a srebrzystą rzeką.

Murman wywieszył możliwość zarobku. Wczoraj ołsi matkę filami — odziana nieszczyście siostry Fatymy. Ona nie może być sprzedana jak Abba, której nie potrafił przyjąć wtedy z pomocą.

Na myśl o stracie ukołchanej, Murman zagryza wargi. Aie od chwili rozstania z Abba, zahartował się w buncie i walce. Jego mięśnie wytrzymały przecięcie w kieracie szelki Neiera Gaghena, dopóki ten po sprawnym popołudniu mechanicznym, nie wyrzucił go wraz z trzydziestoma chłopakami precz, na głodową pustynię. Głowa mocno osadzona na przęznej szyi dwiwała nieraz kszce daktyli i mango, stopy deptały długo rozpalony asfalt bogatych dzielnic zanim nie przepędzono go palkami z Kanakin.

Wtedy powrócił na nędzną skrawek ziemi, bezlitosnie spalony przez słońce by wydzierać zeń chleb dla swych najbliższych.

Wychyla się teraz ostrożnie poprzez krawędź góry zaa której widnieją namioty brytyjskich żołnierzy.

Pustynia zdaje się drzeć od tropikalnej gorączki, powietrze wibruje srebrzystobłękitnymi żyłkami, stwarzając złudzenie rozpylonego oceanu. Na terenie odrutowanym kołczastymi zwojami, wśród płociennych domków, czerwienią helmy angielskich żandarmów. Murman zresztą przesłucha się między wartą a klebowiskiem żelaza. Już jego palające żądza zarobku oczy ujrzały dwa puste wiadra. Niedbale gest, białego jak piasek sierżanta, zezwała na ich zabranie.

Chude stopy miażdżą gwałtownie pustynny żwir, jest już poza strzeżonym terenem zachebów. Do Eufratu jest tylko kilka kroków. Wtem zaa rozłożystego figowca ukazuje się postać hinduskiego żołnierza, jego ramiona są ozdobione czerwonymi znakami i tygrysy opasują tułów chłopaka.

— Ente magnuna! — rechocze, złowieszco patrząc w przeleknione oczy nosiciela wody:

— Nie masz prawa w swe brudne łapy brać wiader, rozumiesz?

Hindus liczy około dwóch metrów i Murman kapituluje. W głowie coraz gwałtowniej powstaje szalona myśl rabunku. Jutro po Fatymę przyjdzie Jasydi. Będzie długo targował się z matką aż matka oślepiona pieniędzmi ulegnie... Fatyma nie będzie już miała siły płakać, z wyrzutem spojry na nich obajga i odejdzie na zawsze.

Noc zapada raptownie jak czarne stado sepow, których wrzask szarpie naprężone nerwy Murmana. Oczy chłopaka świdrują gęstą masę nocy poprzez którą błyszczy światła obozu. W dzień spostrzeżony w jednym z namiotów kasę pełną dynarów z podobiznami syna królewskiego — Faj-sala.

— Wyrokiem sądu skazuję Murmana E. na pięć lat robót w kamieniołomach...”

Dwóch o znużonych minach asesorów patrzyło nieżywym oczyma na postać oskarżonego. W dusznej sali brzęczały wielkie, białe, mchy, opadły na białe ubrania wozy o twardy podobnej, zdawało się Murmanowi, do bryki kiedyś znalezione go w dziecinistwie burzyny. Nie pytano się nawet dlaczego kradł po co potrzebne mu były pieniądze. Wyrok był już przewidziany od dawna w ramach nieugiętego regulaminu.

Murman nie próbował nawet wnikać w istotę prawa. Wiedział, że teraz Fatymy nie nie uchroni, o resztę w tej chwili nie dbał — Abba też to spotkała i nie poraził nie zdołał. Naraz myśl o chorągwie beznadziejnie matce wznowiła w nim, na wpół oślepiałym, gorący bunt przeciwko całemu światu.

Powieźli go pancernym autem w okolice Kirzibaadu. Powietrze było przesycone tu pyłem rozbijanych przez więźniów skał o barwie prochu. Zabrzęczały kajdany przykute do taczki i zaczęły do bólu przegryzać ręk nowego więźnia.

Obok niego młody chłopak zapytał chrapliwym głosem: — Masz papie-

rosy? bo ja mam trochę araku. Anglicy mi go dają co wieczora...

O nic więcej go już nie pytał...

Dni miały płaskie i wyzute z wszystkiego co ludzkie i mające kształt myśli lub uczucia. Starzy powtarzali zwiędniętymi wargami zaklęcia koranu a młodzi rozpijali się przemycanym arakiem. Nikt nie znał poza nimi ceny za jaką go zdobywał. W dni beżmyślne i tepe jak twarze wartowników wdarda się naraz niespotykana dotąd nuta. Z bagdadzkiego sądu przywieziono 38 robotników, największych w Iraku rafinerii naftowych „Malika Farida” i „Bukra”. Nazywano ich buntownikami, gwałcicielami porządku i woli króla.

Pewnego dnia, gdy słońce sięgało prawie zenitu, Murman obdarzony płackiem kukurydzy, spóźniony, jak jeden z nowych więźniów co z mozołem wykruwa na wielkim kamieniu. Kiedy przeknal ostatni kęs placaka, podszedł zaciekałony bliżej i poczęł przylgając się tym dziwnym zabiegom. Arab uderzał raz po raz i spod żelaznego klina wylinał się poczęła pięciokrotna gwiazda. Zrazu ledwo zarzysowana, później po każdym uderzeniu młota głębsza i głębsza...

— Co wyprawiasz, Elkajali! — wrzasnął nagle jak słup wyrosły wartownik — pracować do diabła!

Odpowiedział mu spojrzenie blizczących oczu. Wartownik chwytając karabin wznowił rozkaz:

— Pracować! — albo, wskazał ręką na beżokienki budynku stojący opodal — do izolatora!

I znów wybuchł przekleństwem.

Elkajali wyprostował suche plecy z westchnieniem i kulejąc zabrał się do sortowania rozgryzanych słońcem brył.

Wartownik spluwając pod nogi więźniom, powłócił się na swoje stanowisko.

Murman wtedy przysuwając się ku Elkajalemu, zagadnął: — Co to jest?

— Nie wiesz, nie znasz symbolu wolności?...

Stal wyprostowany w swoim niezwykłym wzroście i Murman zauważył teraz dopiero, że jego towarzysze niedoli ma całe ciało posiniaczone grubymi trzcinami.

Murmana ogarnęła fala szczerości i poczęł się zwierzać;

— Uciec jak najdalej od tego piekła... — szeptał na wpół przytomny.

Oczy Elkajalego spoglądały z ojcowskim współczuciem na chłopaka, potem wzrok jego spowaźniał i wyrzekł coś zrazu niepojętego Murmanowi: „Przepraszam cię, siostrze”.

— To nie droga do wolności... —

— Uspokój się... tsss, idzie znów wartownik... Przyjdź nocą do mego namiotu to pogadamy...

Taczki podjeżdżały kolejno i zabierały znów na dalsze sterty kamienie, potem nocą przybyły wagony i odwozili surowiec do Bagdadu na fundamenty pałaców effendich i jasydich.

Od tej rozmowy minęło kilkanaście miesięcy.

Murman zaprzyjaźnił się z kilkoma więźniami, zesłanymi za bunt w rafineriach naftowych na „Szatańskie kamienie”.

Świadomości, jak kropla po kropli drążyła mózg sprawiając coraz większy ból młodym więźniowi, wyzwalając jednak poczucie osobistej wartości. Starszy o pięć lat od Murmana Elkajali widział w porcie okręty z czerwona flagą. Rozmawiał z marynarzami radzieckimi.

— Co to jest komunizm? — myślał w pierwszych dniach rozmów z Elkajalem.

— To jest wolność... Fatyma... matka i wszystkie matki i siostry, mające chleba do syta i on nie siedzący tutaj, przykute do taczki — dopowiadał sobie teraz...

Elkajali go zasądził na 6 lat ciężkich robót. Jest słaby i małego wzrostu, lecz kiedy mówi, Murman czuje, jak ten przeraża go o całą głowę.

Często wartownik rzuca niedopałek papierosa

— A ty psie parszyszy! — krzyczy wartownik, potem zezwala z uśmiechem wyższości na zabranie niedopałka.

Elkajali nigdy nie podniósł „okurka” i w tym Murman też widzi jakąś dumę wolnego człowieka.

Namioty więźniów są rozstawione co dwadzieścia do trzydziestu metrów od siebie. Naczelnik, kapitan Brian Kent kazał je ostatnio zamaskować w obawie przed nalotami niemieckich bombowców.

Zupełnie zresztą niepotrzebnie, od chwili inwazji na Europę żaden bombowiec nie pojawił się na terytorium Iraku. Natomiast pewnego dnia do obozu przybyła angielsko - arabska ekspedycja.

Młody oficer angielski przechadzał się między więźniami w asyście dwóch arabskich sierżantów.

Dzień był upalny i łańcuchy sprawiały wrażenie rozpalonych ogniem szatańskim, który objął z woli piekła, przegryb rąk skazanych.

Wzrok oficera prześlizgiwał się po twarzach więźniów z badawczą przenikliwością.

— Wody, panie! — wykrzyknął starzec z Kanakinu. Oficer podszedł ku niemu i roześmiał się cynicznie:

— Czy ty jesteś z rafinerii... za bunt?... czy starca sucho spojrzali mu w twarz.

— Jest nas około 40-tu...

— Yes! Dać dużo wody!...

Dwóch arabskich wartowników schwyliło za wiadra... — A ty? — no, czego milczysz?

— Ja... ja nie wiem za co siedzę... — Murman zrobił nagły ruch ręką którą z ledwością opanował.

Oficer cofnął się kilka kroków w tył i wyrzekł powściągliwym głosem: — Podobasz mi się... Hej rożku go, i tego — wskazał ku Elkajalemu.

— Ja siedzę za bunt — oświadczył głuchym i utkwili wzrok w podłokiem nadraz kapitanie, ten przezwyciężył się i odpowiedział wolno, akcentując każdą sylabę:

— To nie... jesteś młody i energiczny a ten — wskazał głową ku Murmanowi — zdrow i silny.

Potrzeba nam policjantów na wyjazd do Indii. No, jak? — przysiągł się w tulowiu i pejemcem uderzył po udach chłopaka.

Murman nie mógł powstrzymać nagłego wzruszenia. Wolność objawiła się w całej swej wspaniałości: „Moc iść swobodnie, droga, po której hula hamsin, bez kajdan!...”

— No co? — zagadnął znów kapitan wpijając wzrok w obu chłopaków — zgadzacie się? Tam stawki będą wyższe niż... w rafineriach...

Teraz znów w oczach Murmana wyrosła postać hinduskiego żandarma znad Eufratu i nienawistnie wybuchła jak iskra i zgłasza w tłumie tysięcy czarnych i kolorowych twarzy o rysach Fatymy i matki...

Elkajali nigdy nie podniósł „okurka” i w tym Murman też widzi jakąś dumę wolnego człowieka.

Namioty więźniów są rozstawione co dwadzieścia do trzydziestu metrów od siebie. Naczelnik, kapitan Brian Kent kazał je ostatnio zamaskować w obawie przed nalotami niemieckich bombowców.

Zupełnie zresztą niepotrzebnie, od chwili inwazji na Europę żaden bombowiec nie pojawił się na terytorium Iraku. Natomiast pewnego dnia do obozu przybyła angielsko - arabska ekspedycja.

Młody oficer angielski przechadzał się między więźniami w asyście dwóch arabskich sierżantów.

Dzień był upalny i łańcuchy sprawiały wrażenie rozpalonych ogniem szatańskim, który objął z woli piekła, przegryb rąk skazanych.

Wzrok oficera prześlizgiwał się po twarzach więźniów z badawczą przenikliwością.

— Wody, panie! — wykrzyknął starzec z Kanakinu. Oficer podszedł ku niemu i roześmiał się cynicznie:

— Czy ty jesteś z rafinerii... za bunt?... czy starca sucho spojrzali mu w twarz.

— Jest nas około 40-tu...

— Yes! Dać dużo wody!...

— Nie zgadzam się! — Elkajali cofnął się o krok ku taczce.

Kapitan poczęł z listy wyczytywać nazwiska.

Pięćdziesiąciu Arabów patrzyło zimno w twarz Anglika.

— To wszystko prawie z tej rafinerii naftowej — podszedł do ucha kapitanowi jeden z sierżantów.

— Wiem! Właśnie przede wszystkim chodzi mi o nich... Niezły element do buntujących się Indii... Anglik z uśmiechem spojrył w ich stronę, wyciekając spokojnie odpowiedzi. Był prawie pewny wygranej. Wystarczy spojrzeć na ich wynędzniałe twarze i łańcuchami strzyżone ręce żeby mieć pewność załatwienia sprawy. Zawsze przecież w takich razach się zgadzali...

— No, czego milczycie?!!

Mijały sekundy i minuty, było coś niebezpiecznego w tym zneruchomiałym trwaniu więźniów, mimo woli rzucił wzrokiem na wyłoty thompsonów.

— All right! Dawać Ję! — wykrzyknął w stronę garażu.



Mal. W. Gerson



JÓZEF POGAN

NIEDAWNA dyskusja w warszawskim ZLP na temat pieśni masowej i zamieszczony w „Nowej Kulturze” artykuł — głos dyskusyjny Anny Kamińskiej nasunęły mi myśl zaproszenia do pogawędki o tak istotnym i ważnym zagadnięciu harmonisty, „układacza” i popularyzatora rozpowszechnionych w tutejszych okolicach pieśni — Józefa Szlachty. Warto chyba w obręb oficjalnej dyskusji wciągnąć także doświadczenia i spostrzeżenia „praktyka pieśni masowej” w terenie, oryginalnego wiejskiego pieśniarza, który tematy do swej samorodnej twórczości i popularyzacji tekstów czerpie z wydarzeń codziennego życia na wsi.

A oto kilka rysów portretu naszego pieśniarza. Mieszka on obecnie w Smardzewicach koło Ojcowa, pracując na trzyhektarowym gospodarstwie, które otrzymał z majątku Czarotwórcy podczas reformy rolnej. Wiele czasu poświęca czytaniu, Szlachta, jakkolwiek bez regularnego wykształcenia, „zna się” co nieco na piosenkach, gdyż niedługo z nich sam spopularyzował lub stworzył, a przede wszystkim posiada dobre wyczucie rodzimej tradycji chłopiejskiej, rozumienie dla najżywniejszych zainteresowań wsi. Trzeba bowiem pamiętać, że wiejscy piosenkarze i śpiewacy korzystają nie tylko z ogólnonarodowego repertuaru, ale uzupełniają go często stworzonymi dla własnej potrzeby nowymi utworami lub też przerabiają dawne, przestarzałe piosenki, przepajając je nowymi treściami społecznymi. Pojawiający się gdzieś niedługo wiejscy układacze piosenek mają, zdaje się, często lepszy gust, a przede wszystkim wyczucie potrzeby postępowych treści wyższe od niektórych naszych zawodowych piosenkarzy. Dlatego warto się im przypatrzeć, a może i trochę od nich nauczyć — jeśli nie w zakresie dobrego ujęcia artystycznego, to na pewno w dziedzinie wystrzeżenia świadomości klasowej, przenikniętej oceny politycznej, zrozumienia wzajemnych konfliktów toczących się na wsi w walce.

Przysłuchujmy się zaprezentowanym przez Szlachtę choć paru piosenkom i przyspieszmy. Wprawdzie niewiele jest wśród nich oryginalnych, ale mamy tu możliwość obserwowania niezwykle ciekawego procesu PRZEOBRZANIA I PRZETWARZANIA STARYCH, częstokroć narzuconych dawniej ludowi przez klasy posiadające, tekstów piosenek. Pojawiają się one dziś znowu — dzięki samorodnym pieśniarzom — w nowej szacie, przepojone nową, często bojową treścią polityczną, nie mając już prawie nic wspólnego — poza melodią oczywiście — ze starymi tekstami, często gloryfikującymi nierówności społeczną, zamazującymi klasowe oblicze wsi. Ciekawych wniosków może dostarczyć nam przesłuszenie tych dokumentów twórczej inwencji ludowych pieśniarzy, bezkompromisowych w politycznej i moralnej ocenie kułackiego i spekulackiego wyzysku, oszustwa, fałszu.

Piosenkę z przedwojennego śpiewnika:

„Mówił ci mój Kasperku
Nie przegladaj się w lusterku,
Bo choć-eś na głębie ładny
Nie dostaniesz panny żadnej.
Bo z urody cóż nieboże
Ładnej gęby nie zaorze...”

a więc wyraźnie mówiąca o niemożliwości zawierania małżeństw między biednymi i bogatymi, obecni wiejscy piosenkarze przerobili w ten sposób:

„Mówił ci mój Kasperku,
Nie zajmuj się macherką,
Bo choć się dobrze bogaczysz,
Wnet opinie u ludzi stracisz.
Bo z macherki, oj, niecnoto,
Nie na wieki kapie złoto,
Wnet przyjdzie na ciebie pora
Pójdiesz do prokuratora...”

Albo tę o pewnym staruszku, co to „przez pola, lasy spieszył do wioski ten sługa boski... co to na syna, na szkoły szło zboże, z obory dobytek... a gdy syn się wykształcił, wyrzekł się ojca-chama, aż Bóg spuścił na jego dom piorun” — przerobiono w ten sposób:

„Był pewien kułak... zwał się Jakubem,
Od niego soltyś miewał wciąż w czubie,
W zapiskach pola za to umował,
I w skupie zboża się mu folgował.
Paści się więc kułak, pieniądze zbijał,
A soltyś codziennie u niego pijał.
Spółeczna kontrola wnet w to wglądła,
Obu szkodnikom nogi podcięła...”

A oto ironiczna kpina z kułackich nadziei oddegu — w takt popularnej piosenki:

„Płje Kuba do Jakuba, bo to dwa kułaki —
— Przyjdzie czas, że dziadom damy się we znaki!
Lecz nie dadzą rady, bo gdzieś są te dziady,
Co dawniej grubym kułakom uciwały zady?”

Krakowiaczka z siedmioma konikami, co to gdy „pojechał na wojnę, — został mu się jeden” — też przerobiono na kułaka:

„U nas kułak jeden miał wieprzaczeków siedem,
Gdy przyszło do skupu został mu się jeden.
Sześciu pokryjomu sprzedał, pozabijał,
Oj, chytry ten kułak, ta wsiowa bestyja.
Kontrola nie spała i znalazła mięso,
Aż się na kułaka portki w strachu trzęsa...”

Nie ostało się też to „Nieorane polisie”, w nowej wersji już nie tylko całkiem zaorane, ale i pięknie zabronowane. Tak ono teraz wygląda:

„Czyżże to polisie zaorane?
To naszej spółdzielni? Tak
Zaorane, zorane całusięnie,
Wyczysane broną zaorane
gładziusięnieko.
Kółko się nie łamie, rafa nie spada,
Za motorem skiby plug układa...”

Popularna jest też piosenka, choć na wzór dawniejszej: „A moja dziewczyno, moje sto tysięcy”, ułożona:

„A moja dziewczyno, nie nas nie rozdziela,
Chyba kawał drogi i dni przed niedziela.
Gdy dawniej na służbie gniebła cię dola,
Cóż mi było z ciebie, jak nie miałaś pola?
Dziś mi niepotrzebne, ni majątek żaden,
Bo w Polsce Ludowej damy sobie radę.
Damy sobie radę, bo pracy wszędzie dość,
A szczęście, to praca i serdeczna miłość.
Dawny smutek co ci drzący sercem targał,
Odpędę gorącym całusem na wargach...”

W ujęciu owych wiejskich twórców piosenek, teraz wcale nie „ładnie na wojencę” i wzorowana na niej oryginalna piosenka brzmi tak:

„Jak to na wojencę strasznie,
Kiedy bomba w szpital trąśnie,
Chorzy w boleściach się wija,
Lotry w nich kulami bija,
Choć narody protestują,
Lotry nadal bombardują,
Wnet będzie koniec tej męce,
Pokój ludy ujmą w ręce...”

zaś tę: „Wojenko, wojenko, cożes ty za pani?” — przerobiono w sposób następujący:

„Oj wojno, oj wojno, wojno oplakana,
Ze cię wyczekują, oj zbiry Trumana,
Trumana i Franca, Adenauera,
Lecz nim przyjdzie wojna, weźmie ich cholera...”

Co najbardziej uderza w tych nie zawsze zresztą artystycznie udatnych nowych piosenkach naszej wsi? Przede wszystkim — wyczerpiecie na najistotniejsze sprawy własnej okolicy i jednocześnie poczucie łączności z całym postępowym światem; klasowe spojrzenie na rzeczywistość; bojowa postawa patrioty — obywatela Polski Ludowej; głęboki humanizm i szlachetna nienawiść do spekulacko-kułackich wyzyskiwaczy i „macherów”, do imperialistycznych zbrodniarzy. Oto nowe dowody szerokości politycznych horyzontów naszej wsi współczesnej, która oczywiście w ten sposób poważnie zobowiązuje naszych pracowników kultury do dalszych wysiłków, często samodzielnie usiłujących zapędląć łuki, widoczne w „zaopatrzeniu” kraju w dobrą artystycznie i klasowo wystrzoną pieśń masową. Tej politycznej czynności i naturalnej prostoty powinni się uczyć od samorodnych twórców socjalistycznego folkloru nasi zawodowi piosenkarze, ograniczający często swoje zainteresowania i obserwacje do życia nocnych lokali, przemycający w rzekomo nowej pieśni stare szmirowane treści przedwojennych szlagierów.

Józef Pogan

JAN BOLESŁAW OŻÓG

U CIERA wróg tezę, że na podgórskich terenach spółdzielczość produkcyjna z góry skazana jest na niepowodzenie. Płytkim sądom przeczą fakty. Okazuje się, że nie tylko na równinnych terenach, ale i w górach, spółdzielnie produkcyjne mogą się rozwijać, należy tylko umieć przyspieszyć tu powstanie pomyślnych warunków dla przemiany struktury gospodarstwa wsi.

Jakie stają trudności do pokonania na drodze ku nowemu?

Do przeszkód wynikających z przyczyn naturalnych należy zły, niedostępny teren górski z lichą glebą. Pod płytką warstwą ziemi — żwir i skała. Na takiej ziemi na wzniesieniach nie łatwo udu się żyć to czy to kartofle, a co dopiero mówić o pszenicy. Góral lubi przypominać, że indywidualny gospodarz zna takie sposoby dogodzenia glebie, jakich nie potrafi użyć kolektyw. To prawda. Traktor nie zdoła wspiąć się w górę tak wysoko jak chłop, który nawet nosi w płachcie, a orze krową.

Rozdrobnienie gospodarstw na terenach górskich w stopniu równie silnym utrudnia powstawanie spółdzielni uprawowych.

Ludwik Maj w „Liście otwartym do posłów J. Chudoby i J. Wiktorę”, umieszczonym we „Wsi” (Nr 48, 1952 r.) wskazuje na przeszkody, wyniki z tzw. „rol”. Wsie podkarpaccie (jest to i w powiecie nowotarskim) podzielone są na role (kiedyś według rodów). Na tych rolach rozbitych na setki skrawków mieszczą się rozrzucone na kilku hektarach gospodarstwa, niejednego gospodarza ma posiadłość na 5 rola — w odległości do 12 km. W terenie górskim taki rozrzut to nieprawdopodobny wzrost kosztów obróbki pól i strata czasu, to wreszcie pajączyna marnujących się miedzy i brud.

Naturalnie, jedynie spółdzielczość produkcyjna może zlikwidować te szachownice. Ale szturm o jej wprowadzenie utrudniony tam, gdzie odpływa do przemysłu i na z nim zachodnie jest niki, jak w okolicach położonych daleko od kolei i miast przemysłowych.

Znacznie lepszą sytuację przedstawia się w miejscowościach położonych blisko kolei i większych miast. Przykładem takiej wsi w powiecie limanowskim jest Pisarzowa, lub Mordarka. Jedna i druga położona w odległości kilku zaledwie kilometrów od Limanowej, korzystają ze stacji kolejowej. Choć z Pisarzowej wjechało na Zachód zaledwie 6 rodzin, to jednak wielu mieszkańców pracuje w Nowym Hucie, a jeszcze więcej „na mieście”. Z każdego domu po 2—3 osoby dojeżdża codziennie do warsztatów kolejowych w Nowym Sączu, do kamieniołomów w Kleczanach, do rozszarni i bednarni w Łososinie, do owocarni w Tymbarcu, wreszcie do biur w Limanowej. Tak samo z Mordarki. Tu problem przeludnienia właściwie nie istnieje. Ten procent ludzi, który zostaje w domu, z trudem potrafi obrócić grunt. Tu cała wieś z łatwością może się wciągnąć do spółdzielni produkcyjnej. Ludzi bez pracy na roli zastępuje niewielu.

Inne trudności są wynikiem złożonej psychiki ludzkiej i złożonych stosunków międzyludzkich, głównie walki klasowej. Wstręt do nowych form życia silnie akcentuje się u bawów i prawników harnasi. Pielegnujących nieraz opacznie tradycje góralskich swobód za dawnych odległych wieków. Bogacz wiejski na tych terenach, zagrożony ze strony biedniaka, którego dotychczas wyzyskiwał bez miłosierdzia, niepewny o jutro, usiłujący ocalić swoje kapitały przed oddaniem w ręce społeczności, nie przebiega w środkach, gdy rusza przeciw budowniczym socjalizmu.

W walce tej błogosławi kułakom kler, a w Limanowskim nie tylko błogosławi. O ruchliwości i destrukcyjnej działalności w tych okolicach dużo mi opowiadał latem ub. r. sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR w Limanowej tow. Osetek. W Limanowej wykryto w okresie zniw w kościele parafialnym za ołtarzem skład chleba. Speculanci wykupywali masowo pieczywo w piekarniach celem szerzenia paniki i przutylisko znaleźli... w kościele. Do Limanowej pojechałem jeszcze raz pod koniec grudnia (27. XII.). Przybyłem wieczorem, gdy biura były już zamknięte. Jakże było moje zdziwienie, kiedy mijając na rynku kościół, posłyszałem, jak ksiądz zamiast koleją zaintonował

na „pokropienie” pieśń pasyjną do Matki Boskiej Bolesnej! (?) Właścicielka domu noclegowego (Limanowa nie posiada hotelu), starsza pani, emerytowana nauczycielka nie mogła się nachwalić księdza wikarego. „Ufundował raz — powiedział — wycieczkę szkolną do Krakowa i własnymi pieniędzmi pomaga w studiach pewnemu studentowi politechniki”. Acha... W Komitecie Powiatowym PZPR mają pełny obraz filantropii księży. I ten sklep z chlebem za ołtarzem, i tę wycieczkę i to, że na plebanii w Limanowej próbowano zbierać od wiernych składki na trzech księżach, skazanych przed miesiącem na długoletnie więzienie za czynny udział w organizacji terrorystycznej.

Organizacja, mówił tow. Buchta, pierwszy sekretarz KP, nazywała się „Odwet Górski”, była powiązana z ambasadą amerykańską i siedzibę miała u południowych kresów powiatu w Kamienicy. Acha... emerytowana naiwność. Dopiero po zlikwidowaniu bandy reakcja usiadła i gmina się uaktywniła. W ostatnim czasie (3.XII.) powstała tam spół-

wola już nie ryzykować, starając się oddziaływać na sąsiadów siłą „regionalnego” autorytetu.

Niekiedy w pomoc „autorytetowi” przychodzi zasługi minione. Tak na przykład jest z Józefem Marcem z Laskowej (10 ha). Od wielu, wielu lat zaciekle ludowiec. Po wojnie usuwa się od życia politycznego. Brat jego, wiciarz, zginął od kul gestapo. Przed domem Marca stoi zażytkowa lipa, kolos o obwodzie 9 m, obiekt godny zobaczenia. Na lipie piękna kapliczka, malowana, dzieło nielada artysty-samouka. To wszystko czyni Marca w oczach Laskowian — niemal bohaterem, a dom jego (na szczycie góry) niezwykłą atrakcją.

Mają kto zdaje sobie sprawę, że tego rodzaju mity i atrakcje, same w sobie dobre, działają dla sprawy destrukcyjnie. Jeden, jak Marzec miał u południowych kresów powiatu w Kamienicy, Acha... emerytowana naiwność. Dopiero po zlikwidowaniu bandy reakcja usiadła i gmina się uaktywniła. W ostatnim czasie (3.XII.) powstała tam spół-



Mal. Edward Wleczorek

dzielnia produkcyjna („Podhalanka”), od której spodziewać się należy pomyślnego rozwoju. Bardzo mocno związał się kler walką z postępem jeszcze wcześniej w gminie Ujanowice.

Po wojnie zorganizowano tu liceum ogólnokształcące. Znaczne oddalenie od kolei (22 km), w miejscowości zabitej deskami od świata, sprzyjało opanowaniu szkoły przez reakcję. Nauczyciele, bez kwalifikacji zawodowych, albo starzy, stoławali się na plebanii u dziekana, który wzięł szkołę pod swą kuratelę. Liceum stało się ni mniej ni więcej tylko bazą Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Dopiero w połowie ubiegłego roku wpłynęła reakcja z plebanii na okolicę osłabiła na tyle, że można było gminę uaktywnić, powstały 2 spółdzielnie produkcyjne: w Pisarzowej (gm. „Manifestu Lipcowego”) i w Laskowej („Nowe życie”).

Krok krok z klerem, przeciw nowej wsi idący bogacz, kułak i spekulant — to siła, którą pokonać trzeba tu w ciężkiej walce. Toteż „siła” tej należy się przyznać uważnie.

Typy bawów z Limanowskiego — to albo bogacz z dziaćła pradziada, osiadły najczęściej na „rol”, albo dorobkiewicz z dolarami zarobionymi kiedyś w Ameryce, pewny siebie zdobywca dobrego posagu, albo tej biedoty, której łatwości nierzadko imponuje jego „edukacja światowa”.

Kto obserwuje narodziny nowego życia, bywa tu świadkiem starc, o jakich się nieraz nawet nie śni spokojnemu mieszkańcowi nizin.

Oto przykład: Typowy kułak z Laskowej, bogacz Stanisław Wiśniewski, właściciel 12 ha, podczas ostatnich jesiennych dostaw przywoził na miejsce skupu zboże za wożone. Wykryto szkodnika, i sąd skazał go na 5 lat więzienia.

W Pisarzowej Józef Smoleń (15 ha) po nocach chodził do gospodarzy, buntował, siał panikę. Po dokonaniu przetrutów zaoarał na gruncie spółdzielczym i zasiał stare własne grunta. Traktory to wszystkie zaoarały jeszcze raz, a on dostał półtora roku więzienia. Tak to sprawiedliwość dosięga tego, który za sanacji przez 14 lat był wojtem, i obrósł w piórka, tucząc się na krzywdzie ludzkiej.

Inni bogacze z Pisarzowej, jak Jan Górka, pisali zażalenia do Prezydenta, chcąc rozbić spółdzielnię. Ale kruczki nie pomogły.

Nie każdy jest jednak tak odważny jak Smoleń. Na ogół bawowie

muja oni jakiś nieokreślony urok i autorytet. Dodajmy, że zabudowania bogaczy wdzierają się na szczyty górskie, ciągnąc tam za sobą grunta i lasy. Stamtąd, znad lasów, niedostępni, zdala od ludzi, schodzą w odświeżeniu ubraniach tylko niedziela w dolinę do kościoła. Oni mają pieniądze, nie muszą więc schodzić za interesami, inni z mozołem wspinają się dosłownie do ich łaski. Wytwarza się więc zależność, niekiedy dość gruba.

Wspominałem o książkach będących niekiedy w posiadaniu bogaczy.

Książka u bogacza to niebezpieczna atrakcja. Dobrze, że biblioteczki te są zazwyczaj zamknięte przed czytelnikami i służą jedynie właścicielowi. Ale niech się zdarzy, że pójdzie w obieg „Tredowata” albo „Gehenna” Mniskówny. To książki szkodliwe, a z całą pewnością Laskowa je posiada.

Należałoby chyba w jakiś umiemy sposób przeciwdziałać tym atrakcjom. Może postarać się, aby dobra, pasjonująca książka trafiała do szafki czy kufereka i średniaka i biedniaka?

Potrzebna książka w świetlicy! Świetlica winna stać się tu centralą życia społecznego i miejscem wszelkich rozrywek kulturalnych. Ona zespala gromadę w walce przed wpływami kułaków i spekulantów oraz plebanii.

W Laskowej urządzono świetlicę w dawniej zabytkowej drewnianej kaplicy, w sali, która pozostaje pod ochroną Ministerstwa Kultury i Sztuki. To bardzo dobrze, że tu, gdzie mieści się dziś scenka na przedstawienia i odczyty, czytelnia czasopism, biblioteka i gazetka ścienna.

Ale świetlicy nie posiada Pisarzowa!

W Limanowskim powiecie jest obecnie świetlica 50. To wcale nie za dużo.

Jak się powiedziało, spółdzielnie w Limanowskim powstały w ogniu klasowej bardzo ostrej walki.

Pierwszą spółdzielnię powiatową w Laskowej cały okrągły rok montowano, cały rok przygotowywano teren pod nowe. Kto wie, czy spółdzielcy nie ulekłiby się trudności, kto wie, czy nie daliby się omamić księżom i kułakom, gdyby nie pomoc aktywów partyjnego i ZSL-u. Aby zwalczyć plotki, puszczane przez wroga o tym, że w spółdzielniach już zorganizowanych jest źle, trzeba było tłumaczyć na zebraniach, że to nie jest tak.

Jan Bolesław Ożóg

STANISŁAW WYGODZKI

OD PRZESZŁOŚCI DO TERAŹNIEJSZOŚCI

O bogactwach ukrytych w Ziemi Śląskiej wiedzano już bardzo dawno. Już w roku 1136, w dokumencie potwierdzającym dochody arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, mowa jest o kopaczach wydobywających na Śląsku srebro. Potem odnaleziono węgiel, rudy, ale nie bardzo wiadano co z tym dziać. Tymczasem ziemie te zostały zagarnięte, pod władztwo pruskie dostały się skarby, plemiona słowiańskie, ludzkie innej mowy, innej wiary, innego obyczaju.

W krainie dolin i wzgórz, wśród borów gęstych, tam gdzie w roku 1136 wydobywano srebro, odnaleziono również węgiel i rudę. Ci, którzy się wdzierali w głąb ziemi nie widzieli jeszcze związku między rudą a węglem. Nawet wówczas gdy potrafili już przetapiać rudę, czynili to przy użyciu drzewa. Połączenie węgla z rudą, a ściślej mówiąc koksu z rudą nastąpiło później, znacznie później.

Ale już pod koniec 18 wieku wydobywano na Śląsku zarówno węgiel jak i rudę, przeznaczając jeden i drugi produkt do wspólnego działania, do połączenia się w wielkich piecach w których przetapiano rudę na żelazo. Reden, ów minister pruski czworga imion Friedrich Wilhelm Otto Ludwig von Reden namówił cesarza pruskiego, by zaczął inwestować, budować, rozwijać przemysł. Reden był właśnie wrócił z Anglii, z owego kraju klasycznego kapitalizmu, tam poznał niezwykłą wartość przemysłu dla rozwoju kraju, tam widział nowe maszyny, nowe zakłady, fabryki zatrudniające tysiące ludzi opłacanych tanio, tam ujrzał także bogactwo tworzone rękami tych ludzi, dlaczegożby nie postąpić podobnie w Rzeczy? Rząd pruski zakładał huty i jaką jej nazwę nadaje? Oczywiście mianuje ją Królewską, bo do króla należała i jego imię miała utrwalic ku chwale wiecznej, po wsze czasy, dla potomności. Atoli, jakby powiedział dziejopis, obok króla istnieje druga władza, władza posiadaczy gruntów i majątków ziemskich, władza panów feudalnych, którzy wprawdzie przestają być feodalnymi panami, ale nie przestali być potęgą!

A król i cesarz? Jest już wprawdzie władza, ale jeszcze nie jest potęgą, stanie się nią dopiero kilkadziesiąt lat później, ale wtedy ktoś inny już będzie nim rządził, zjawi się potęga nowa nazywana po krótko — koncernem.

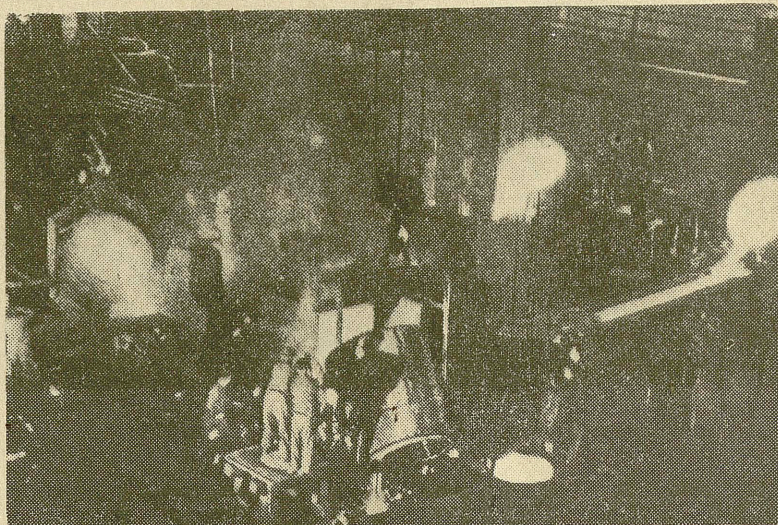
A król i cesarz? Jest już wprawdzie władza, ale jeszcze nie jest potęgą, stanie się nią dopiero kilkadziesiąt lat później, ale wtedy ktoś inny już będzie nim rządził, zjawi się potęga nowa nazywana po krótko — koncernem.

Teraz więc jesteśmy na początku 19-go stulecia na Śląsku, w mieście nazywanym obecnie Chorzów i wraz z ministrem pruskim Redenem, człowiekiem bywa-

łym i bardzo uczonym, który został w sobie wielkie dzieło naukowe i wielkie zasługi dla rozwoju kapitalizmu w Niemczech, wchodzimy w ciemny bór. Jest rok 1801 i w otoczeniu lasów wznosi się budowla wielce dziwna. W otoczeniu budowli przypominających dwór szlachecki wznoszą się w niebo dwie olbrzymie, acz przysadziste kładzie, zbieżące się ku górze i z wylotów tych kładzi wkrótce wzniesie się obłok czarnego dymu, wijący się odłog nieprzerwanie pomiędzy drzewami i ku niebu. Będzie to huta, jak się rzekło, zwana Królewską. Jednakowoż tuż obok, zupełnie blisko, na swoim gruncie książę Henckel von Donnersmarck, ten z Nakla, a nie ze Świerklańca, bowiem dwóch ich było na Śląsku, również coś buduje wśród borów. Nie hutę, a kopalnię. Z tej własnej kopalni hrabia Reden pragnął by mieć węgiel dla nowej huty, dla tej Królewskiej. Węgiel dla huty? — zapytuje graf, a książę góźnie go oddać hucie? Czy nie stać mnie na to, abym sam sobie wybudował hutę, dla której przeznaczę własny węgiel? Henckla oczywiście stać na wybudowanie własnej huty, zwłaszcza. Otóż o to zwłaszcza chodzi. Jesteśmy w okresie rozwoju przemysłu i handlu, początek 19-go stulecia na kontynencie już wie o to jest kryzys, lecz po okresach kryzysu następuje jeszcze wówczas okres rozkwitu i żelazo jest bardzo potrzebne, bardzo poszukiwane, bez niego nie ma maszyn, kotłów parowych, szyn kolejowych! Na Górny Śląsk obok istniejących kopalni i hut przybywają nowe, ich budowa nie miała nie kosztuje, wszystko jest na miejscu! Budulec w postaci drzewa, domy, rudy, węgla, a ludzi? Ile tylko dusza zapragnie. Kończy się feudalizm, zjawia się proletariatus, wolny; ajm, który nie posiadając ziemi, posiada za to skarb większy — mocne ręce, które można kupić, ale i przegnać można przez wrzaski i przemoc, do którego należą. Dlatego właśnie proletariatus nazywa się wówczas wolnym najemcą. Jest rzekomo wolnym, bo nie stanowi już własności pana, ale wolnym jest również ów, który kupuje się robotniczo, nałotem, wolny wolnością zupełnie odrębną, inną, jemu tylko właściwą.

Ci więc, którzy budują na Śląsku kopalnie i huty, czy to będzie król, czy magnat, mają wszystko, nie wyłączając ludzi i ci pracują. Ci drażą ziemię, ci stoją przy piecach, ci giną w czeluściach ziemi i ci mru w męczarniach od oparzeń i wypadków. Ale są wolni!

Czas szybko mija i rząd pruski, właściciel huty „Królewskiej” nie może po prostu podołać możliwościom hrabiego Henckla von Donnersmarck. Hrabiovi stają się silniejsi, pewniejsi, zasobniejsi. W Niemczech zaczynają się po prostu rządy kapitału i władza kró-



lewską, aczkolwiek wychodzi z walk i rewolucji wzmocniona, ale nie w stosunku do nowej klasy, jaką jest burżuazja. Ta stanie obok króla, broniąc go gdy się poczuje zagrożony, ale będzie go ograniczać, gdy spróbuje stanąć przeciwko burżuazji, czego zresztą nigdy nie uczyni, bo po co? Czyż to żle władzy u boku tej klasy, która z nim się jednoczy przeciwko nowej sile, rodzącej się nieustannie — przeciwko proletariatusowi?

Po co więc królowi zabawić się w prowadzenie jakiejś tam huty? Po co rządowi tego rodzaju kłopoty? Czy nie lepiej oddać ją jakiemuś kapitalistcie, który się będzie sam o nią troszczył, a państwu odda co się państwu należy, a więc podatki, opłaty, cla i myta. Tak więc rząd sprzedaje hutę, zwaną Królewską, sprzedaje ją, ale komu? Hencklowi właśnie, temu to Hencklowi, który nie chciał dać królowi swego węgla i teraz staje się właścicielem huty i to jakiej! To przecież nikt inny tylko rząd inwestował, rząd budował, budował więc solidnie, mocno, dobrze, wprowadził najnowsze wynalazki i maszyny, bo czy to królowi szkoda było pieniędzy — skarbowych na budowę najprzerodniejszej, największej huty na kontynencie, pędzonej maszyną parową, ogrzewanej koksem zamiast węglem drzewnym? Ciekawość was ilu Henckl zapłacił rządowi za tę hutę? Proszę bardzo. Znamy dokładną sumę. Henckl zapłacił rządowi pruskiemu 1.000.000 talarów, a więc sumę pokątną, olbrzymią, o po roku bilans wykazuje... No, co bilans wykazuje? Oczywiście zysk, zysk, a jakże, ale jaki? Przypomnijmy, Henckl zapłacił milion trzy tysiące talarów, a po roku miał zysku 400.000 talarów! To się nazywa mieć głowę na karku! W ciągu roku uzyskał z powrotem 40 proc. wyłożonych na kupno pieniędzy! Ale to nie bynajmniej ta głowa hrabiowska to sprawiał! Henckl zakupił od rządu hutę w roku 1870 i to wyjaśnia wszystko. Przez Europę przechodzą

wrzenia rewolucyjne, pierwsza w dziejach próba stworzenia rządu robotniczego i to drogą rewolucji, przez kilka miesięcy w Paryżu istnieć będzie władza Komuny, a przeciwko Komunie, przeciwko proletariatusowi huty mogą wiele zdziałać, o bardzo wiele. Huty dają stal, stal to bagnety, stal to armaty, żelazo to kule, wyroby hutnicze potrzebne są do budowy kolei, statków, maszyn, fabryk! I wtedy nadchodzi rok 1871, znamienny nie tylko w dziejach Europy, lecz również w dziejach huty, zwanej dziś Kościuszką. W roku bowiem 1871 Henckl sprzedaje hutę, obiekty, który po roku dał mu 40 proc. zysku, zakład, który po 3 latach miał mu zwrócić z nową jakością zapłaconą cenę, a w dalszych latach miał sprawić, że się stanie milionerem, potęgą! A mimo to Henckl sprzedaje hutę i trzeba przynajmniej, sprzedając ją do brzo. Zapłacił za nią milion i trzy tysiące talarów, a dostał za nią 6 milionów talarów, nie licząc zysków, ale... Ale sprzedał ją sobie. Tak jest. Dostał 6 milionów talarów za hutę, której właścicielem nie przestał być ani na chwilę. W jaki sposób? W bardzo prosty sposób. Europa rządzi wówczas kapitał anonimowy, bezimienny, bankowy, powstają spółki akcyjne, koncerny, kapitał się jednoczy, gromi słabszych od siebie konkurentów, ci więc, którzy przystąpili do spółki Henckla wzięli się w jego hutę, dali mu 6 milionów talarów i zyskali prawo do części dochodu, jaką hutę miała przynieść w toku swojej pracy. Ale Henckl sam nie wycofał się ze spółki, pozostał w niej i bogacił się dalej. Huta Królewska była już wówczas zjednoczona z hutą Laurą, która Henckl swego czasu wybudował jako konkurencję huty Królewskiej — wchodząc w okres tzw. tawaryzmu akcyjnego, okres bardzo ciekawy. W 10 lat później na przykład w roku 1881 przeciętny zarobek hutnika wynosił rocznie 575 marek, a koszty utrzymania wyno-

sily zaledwie od 921 do 1935 marek, ile więc brakło hutnikowi, aby się utrzymać przy życiu? No, zaledwie jakieś od 346 do 460 marek. Bagatela! Jak więc żył? Żył źle, żył krótko, ale prawo kapitalizmu jest takie, że na miejsce zmarłego, o ile jest robota, stanie stu innych. Taki to jest porządek. Do śmierci w kolejkę.

Od tej chwili, od 1871 roku datuje się burzliwy rozwój i rozkwit przedsiębiorstwa. Posiada ono własną kopalnię, własne koksownie, własne elektrownie, własne gazownie, własne fabryki wagonów, produkcję szyn, stalownie, ale od tam też zakłady będą miały własne strajki robotników: w latach 1870, 1899, 1901 i dalej i dalej nie inaczej niż we wszystkich innych zakładach należących do innych koncernów. Strajki te będą tamane i tłumione krwawo, a często bezkarnie, ale przy użyciu zdrady socjaldemokratów.

W tych latach przez Chorzów przejdą Róża Luksemburg, Julian Marchlewski działacze KPD, tu Hitlerowcy nim doszli do władzy rozprawiali się z ludnością polską i opozycją robotników niemieckich, by potem, po objęciu rządów, urządzić pogromy, tu w okresach kryzysów wznosiła się bezrobocie, nędza, głód. Widziałem broszurę wydaną w 50-lecie istnienia tej spółki. O ile w roku 1902, w studenci istnienia huty jakiś tam dyktor Junghann głosił się nad tym, kogo zaprosić na uroczystość, a kogo można pominąć, to w roku 1921, po przegranej wojnie, w 50-lecie istnienia Spółki akcyjnej, wydano jedynie skromną broszurę, zawierającą sprawozdanie z działalności zarządu spółki, rozliczenie akcji itp. historie, ale najciekawsze widnieją na pierwszej stronie, gdzie wymieniona została rada nadzorcza spółki. A więc dr. Paul von Schwabach, bankier, z firmy bankowej Bleichroder w Berlinie, Henry Nathan, dyrektor Dresdner Bank, Georg Behrens, bankier z firmy bankowej L. Behrens i synowie, Hamburg Gutman, dyrektor Dresdner Bank, dr. Georg Heilmann, bankier z firmy bankowej E. Heilmann, Wrocław, Graf Guddotto Henckel von Donnersmarck, Neudeck, Ernst Kritzer, bankier z firmy bankowej Bleichroder, Berlin, Ludwig von Neurath, dyrektor Oesterreichische Credit Anstalt für Handel und Gewerbe, Wiedeń! Bankierzy, bankierzy, bankierzy! Ale za tymi bankami stał jeszcze ktoś mocniejszy: Flick, Krupp i Amerykanin Harriman! Wszystkie nici, cny kapitał już wówczas zbiegał się na Wall-Street. Pieniądże dawał Hitlerowcy bank Bleichrodera i Dresdner Bank, Ameryka uprawiała wobec Hitlera tak zwaną opozycję, lecz po cichu popierała i umacniała bandytów dla wiadomych celów: do walki przeciwko Związkowi Radzieckiemu. W roku 1921, gdy się

odbywało owo sławne zebranie akcjonariuszy ku czci 50-lecia istnienia obecnej huty Kościuszkę, najmniejsza akcja kosztowała 100 marek, ale i głos leżał się dopiero od jedn. akcji wartości ponad 600 marek! Nie było kto mógł więc nabywać akcje tego towarzystwa!

W tym stanie rzeczy, w roku 1921, na mocy konwencji zawartej w Genewie Polska obejmuje tę część Śląska, która była przez wieki okupowana przez prusactwo. Przez całe 17 lat władzy Polski burżuazja, wybudowana w hucie Kościuszkę jeden jedyny piec! Najmniejszy z istniejących obecnie, bo nasza władza w ciągu 7 lat wybudowała już jeden, zwany powszechnie B, znacznie większy od pieca A, a na ukończeniu jest drugi, zwany C, równy co do wielkości i mocy piecowi B.

Myślę, że w tym skróconym zestawieniu naszych osiągnięć i tego co zrobili kapitaliści polscy, gdy mieli władzę, nieśledzi się wszystko: i prężność naszego ludu pracującego, i energia władzy ludowej, i potęga naszego ustroju i wielkość naszych czasów i perspektywa naszej przyszłości.

Mówiliśmy często ostatnio i przypominaliśmy, żeśmy zlikwidowali bezrobocie, że są to czasy bezprowtne i niedowracalne, mówiliśmy często ostatnio i cytowali słowa poety o tym, że lud wszedł do średniowiecza i zamieszkał nowe dzielnice mieszkaniowe, ale na przykładzie huty Kościuszkę słowo przybrało jeszcze innego znaczenia. Lud wszedł nie tylko do średniowiecza, nie tylko do przemysłu, by pracować, ale wszedł również do biur konstrukcyjnych, do gabinetów i dyrekcji, do sal konferencyjnych i komórek kierowniczych, gdzie zarządza hutami i kopalniami, gdzie się uczy, skąd dysponuje energią, rozbudowa, wzrost. Dzieci robotnicze weszły do pałaców byłych dyrektorów huty, willa dyrektora Bernharda została oddana dzieciom hutników na żłobek, inne wille oddano instytucjom robotniczym, w willi mieszczącej się w parku hutniczym mieści się świetlica dziecięca, hutnik i wytyplacz z huty Kościuszkę Henryk Kowal zasiada w sejmie Rzeczypospolitej jako poseł ludowy, jako reprezentant górniczego i hutniczego Śląska i gdy dziś otwieramy pamiątkowe broszury i księgi to obok nazwisk ludzi kierujących przemysłem i rządzącym krajem, czytamy: górnik, hutnik, członek spółdzielni produkcyjnej i dopiero przez zestawienie, przez porównanie pojmujemy, jakich wydarzeń stałymi się świadkami, my, którzy wczoraj jeszcze widzieli nienawistną, wroga twarz obcego i swojego kapitalisty, a dziś widzimy swoją, jakże surową często, ale uśmiechniętą twarz wyzwolonego ludu.

Stanisław Wygodzki

EUGENIUSZ MORSKI

CHMIEL

Chmiel dziki piał się na sztachety posłuszny woli twoich rąk, szliśmy ścieżkami w głąb poletek pieściłaś czule każdy strąk.

A w nocy śniłem na kwaterze: słaś rozsuwając sploty zielsk chwytały cię gałęzie jerzyn, a ja opłotem cię jak chmiel.

Powoli wstawał świt zamglony, w akacjach białych śpiewał kos, a w czarnej tubie telefonu zniemacka twój się znalazł głos.

Plan dnia kreśliłaś roześmiana, tak dziwnie rwał się tok twych słów, jakbym na jawie znalazł z rana cząsteczkę minionego snu.



WACŁAW PALIK

O AUTORYTECIE SPÓŁDZIELNI

C O nowego w Bielicach? W tamtejszej spółdzielni produkcyjnej „Przyszłość”? Przyszło niedawno do zarządu dwóch nowych, aby się zapisać. Pilarski i Dobek, obaj średniaki. Ale narobili oni lekkomyślnie długów i z takim dopiero obciążeniem do „Przyszłości”. Zebranie ogólne odmówiło przyjęcia.

Matusiak rzekł im: — „Co wytańczycie, pilista i jedliście a teraz chęta, aby spółdzielnia przyjęła odpowiedzialność za wasze długów? Na spółdzielnię musita zastąpić uczciwą pracę... na razie się nie nadajecie... poprawta się...”

Opowiem o tym z pozoru blahym a wesołym wydarzeniu, gdyż widzę w nim znamienny i wcale poważny objaw.

Bo czy nieprzypicie Pilarskiego i Dobka oznacza zamykanie się zespółu? Nie! Spółdzielnia obejmuje już ponad 90 proc. mieszkańców Bielic. W ciągu trzech lat swego istnienia dowiodła, jak mocno prowadzi politykę otwierania drzwi i pozyskiwania indywidualnych. Czyż zatem, za odmową kryje się tu interes gospodarczy zespółu, aby nie obciążać spółdzielni kosztami długów Dobka i Pilarskiego? I to nie, choć za motywem takim przemawiałaby ekonomiczna racja. Trzeba wyciągać właściwe wnioski z faktu, że bieliccka spółdzielnia, to dziś 9/10 gromady. Cóż on bowiem oznacza? Dobry gospodarke wielkiego stosunkowo kolektywu i rozwinięte społeczeństwo wśród tak dużego zespółu członków. Wielki zespół ani nie powstanie dla „zdobienia” spółdzielni, ani nie może egzystować, zdobyć tylko pracujący trzon. Tam, gdzie prawie cała gromada w spółdzielni, mamy obraz siły gospodarczej i moralnej nowej wsi. A to wytwarza znów coś nowego: autorytet, jakiego dotąd chłop nie znał i nie doświadczał.

Na starej wsi kulak i obszarnek imponowali chłopom nie tylko dlatego, że byli potęgą gospodarczą, ale również dlatego, że każda z tych potęg zagrażała chłopu. „Autorytet”, jaki zdobywali, tylko w części pobudzał chłopów do naśladowania, w przeważającej mierze zmuszał go do postępowania

przeciwstawnego do górujących wzorów. Do pokory, uległości, próśb, ulegania wykazowi itd. Ten autorytet wyrastał na gruncie sprzecznosci i nienawiści klasowych.

Spółdzielnia produkcyjna i taka jak Bielic, to też potęga gospodarcza.

Ale — po pierwsze — nie jednostkowa a zbiorowa. Z czym chłop dotąd nie miał do czynienia na wsi. Bo kulać czy dziedzic to „autorytet”, że tak powiem personalny, gdy spółdzielnia — społeczna. I nie dający się porównać z dawną gromadą, bo ta, jak ją nazywał Marks, stanowił „worek kartofli”, a kartofle choćby w kupie, nie przestają być pojedynczymi kartoflami.

Po drugie — spółdzielnia produkcyjna nie zagraża chłopu indywidualnemu, nie konkuruje z nim w sensie kapitalistycznym, nie walczy, nie wyzyskuje i nie niweczy go. Przeciwnie, służy mu do świadczeniem i pomocą.

Po trzecie — spółdzielnia tworzy zespół ludzi klasowo jednorodnych z pracującym chłopstwem, ten sam to pień. Osiągnięcia zatem gospodarcze spółdzielni mówią o nowych możliwościach właśnie dla małego i średniorolnych. Wzór tutaj powstaje zatem prosty, nie na wskazywanie.

I jeśli spółdzielnia staje się potęgą gospodarczą, wówczas w okolicy rośnie jej autorytet niweczący przeciwnictwa i przyciągający indywidualnych do nowego wzoru. Za tym zaś nowym wzorem stoi sugestia zbiorowej, jakiejś dotąd chłop nie podlegał.

Bielicce w trzecim roku gospodarki zespółowej prawie całe u spółdzielczono, to znaczy Bielicce bez utracjuszków, nierolników i symulantów. To jest ten nowy, narodził w krótkich kilku latach kapitalizm moralny nowej wsi. I z mandatu tej siły moralnej przemawia Matusiak do Pilarskiego i Dobka.

— Na spółdzielnię musita zastąpić uczciwą pracę. Na razie się nie nadajecie... poprawta się...”

Oto etap, na którym spółdzielnia, jak w Bielicach, może już moralizować chłopów indywidualnych

(nawet czcigodnych średniaków). To znaczy, że odwrócił się już tutaj dawny porządek rzeczy. Pierwszym bowiem, jak wiadomo, strzali ze wsi puszczane w nowopowstałe spółdzielnie kulmy moralne: że ten, to ten i ów źle pracują, kłówa się, kradną, jakże więc może powstać nowe życie kolektywne...

Teraz spółdzielnia wydaje oceny o morale średniaka... poprawta się, poprawta... Jakże zatem, widząc, że to spółdzielnia ukazuje mu lepszy wzór życia w jego własnym indywidualnym porządku, ma chłop nie widzieć w spółdzielni jeszcze wyższego życia nad jego najgłębsze, kiedy Matusiak z kolei powie... „na spółdzielnię musita zastąpić...”

*

Nowy autorytet nie powstaje łatwo. Trzy lata temu sześciu talarów — malorolnych pośród wścieklej nagonki i drwin kulackich (w okolicy nie było jeszcze ani jednej spółdzielni) przystąpiło do zespolonej uprawy. Byli formalnie dopiero Komitetem Założeń, praktycznie — spółdzielnią. Nikt we wsi nie zważał na ceregiele statutowe, jest czy nie ma 12 tu. Była akurat polowa tego, co dopiero prawomocne. Ale ta polowa działała jak zespół Patrzan, co z tego wynikało w warunkach niezwykle ciężkich. Wkład bowiem inwentarza mogli dać milicjanci, brak było sprzętu rolniczego i maszyn. Sam remont budynków pochłonął 1/4 czterocznego dochodu. A jednak wytrwali i uzyskali dobry zbiór zboża i okopowych, siewy jesienne przeprowadzili sprawnie i w terminie. O bora zaczęła zapieścić się bydlęciem. Zdobyli już wówczas pewien autorytet. Wiosną przystąpiło 10 średniaków i 5 biedniaków. Średniacy to był sukces! Przybyli „ekonomiści”, głowy kalkulatorskie, a że dobrze w rolnictwie kute, dlatego najpierwsze dały się przekonać.

Z ostrą świadomością klasową biedniaków i ich szturmem na ołtarz, spłótna się teraz średniacka umiętność gospodarowania.

Dwa następne lata dają taką bilans:

W inwestycjach — dobrze zaopatrzone park maszynowy, własny traktor i samochód ciężarowy, rozbudowane magazyny stodoły chlewy i obory, pełne elektryfikowanie i radiofonizowanie, świetlica, biblioteka.

W produkcji: oto tabelka, ile zbierali chłopcy w Bielicach w r. 1950 z ha. a ile zbierają teraz jako spółdzielcy.

żyto	14—15 q	25 q
pszenica	16 q	23 q
jęczmień	13 q	22 q
buraka cuk.	150—170 q	275 q

Głęby bielicckie należą do słabych Osiągnięcia w buraku rozlały spółdzielnię w okolicy.

W r. 1950 pierwsi spółdzielcy wprowadzili 7 krow. Dziś jest w wysokości około 45 wysokomlecznych, rasowych krow, 20 cieląt, 90 świń, 24 koni.

Jak się mają sprawy z autorytetem spółdzielni w Bielicach niech świadczy jeszcze jeden przykład z ostatnich dni. Odbyło się zebranie rozliczeniowe, na które jak zwykle, zaproszono chłopów z sąsiednich wsi. Z tego zebrania nikty nie zapamiętał wystąpienia Kubiakowej, gdyż nie replika Kownackiego chłopu indywidualnego, jednego z ostatnich Mohikanów bielicckich.

Kubiakowa jak to się mówi — natrętna, że coś jej się mały widzi obrachunek za 110 przerobionych dniówek. Przewodniczący raz jeszcze wyraził jej nadszeczność.

— 10 q pszenicy, 15 q żyta, 80 q kukurydzy 5 ton kartofli pasza dla krowy i 1300 zł gotówki.

Wtedy to właśnie wystąpił Kownacki.

— Mało wam tego? Toć to za 11 dniówek a ja za cały rok hawówki na 4 ha nawet w zbożu tyle nie wyciągnę. Liczę 2 ha mam pod siew, to 28 q. Na skup 5 q. na zasiew 4. Na obródek choćby tylko 3 — zostaje 16q... w teori... A wy czyste dochołu weźmiecie się 25 q pszenicy i 1 żyta.

Siadł i jakby sprężyna podkurczył, znów wstał. — To ja proszę, zapiszcie Kownackiego do spółdzielni.

Wacław Palik

Laureaci Nagród Stalinowskich



MIECZYSLAW INGLOT

ERENBURG — PISARZ POKOJU

ILJA Erenburg otrzymał najbardziej zaszczytną nagrodę, jaką może otrzymać człowiek i pisarz: Stalinowską Nagrodę Pokoju.

Jest ona — jak to podkreślił sam Erenburg, „wyrazem uznania dla wszystkich ludzi radzieckich, którzy bronią pokoju”. Jest jednoznacznie dowodem poszanowania dla wielkiej misji pisarza — obrońcy pokoju, prowadzącego za sobą tysiące i setki tysięcy swych czytelników. Jest także wyrazem poparcia dla całej światowej literatury postępu i pokoju. Literatura ta nie oślepia ludzkości w jej ciężkich zmaganiach o przyszłość świata. „Podlegające” i „Spiskowcy” Szpanowa, „Komuniści” Aragony, „Pierwszy cios” i „Strzał armatni” Andre Stila, „Jimmy” Pierre Courtade’a, „Dyplomata” Aldridge’a, „Niemy” Kruczkowski — wszystko to wystąpienia jednolitego potężnego frontu postępowej literatury, oskarżającej zbrodnie imperializmu, ukazującej pokojowe dążenie prostych ludzi. Przyczynia się ona do mobilizacji i zjednoczenia narodów — staje się wielką siłą w walce o pokój. W szeregu jej twórców zaszczytne miejsce zajmuje Erenburg, jako publicysta i powieściopisarz, twórca „nowej prozy, prozy oburzenia i operatywnej bezwzględności w stosunku do obłudy i fałszu” (Fiedin).

Mimo zamykania granic i zarzucań kurtylni, świat współczesny wydaje się sobie bliższy. Między Warszawą, a Pekinem rozciągają się tysiące kilometrów; między Tiraną a Leningradem, Moskwą i Paryżem, Berlinem a Nowym Jorkiem widnieją słupy graniczne, migają godziny, dni i tygodnie. A mimo to, przy lekturze utworów Erenburga znikają tysiąckilometrowe przestrzenie. Myśli amerykańskiej murzynki Jenny, rosyjskiego doktora Kryłowa, francuskiej działaczki Mado są jednakowe. A granice przebiegają inaczej. „Autor przedstawia rzeczywistość w ostrych, pełnych napięcia konfliktach; w dramatycznej walce dwóch zasadniczych sił, pokoju i wojny”. Sąd radzieckiego krytyka Nikołajewa w recenzji z „Dziwiągłej fali”, można zastosować do większości utworów Erenburga.

Erenburg kontynuuje wielkie tradycje realizmu socjalistycznego w demaskowaniu światowej burżuazji, tradycje Gorkiego i Majakowskiego. Tu tkwi bezpośrednia rodowa wielkość sztuki Erenburga, przepojonej chłopską ironią dla imperialistycznych zbrodniarzy i oszustów. Prześledźmy jeden przykład — tradycję pisarską przepłata się tu z nowymi faktami życia. „Miasto Złotego Diabła” zawiera szkic pt. „Kaptan moralności”, w którym Gorki opisuje spotkanie swoje z przedstawicielem amerykańskiego biura obyczajów. Celem tej insynuacji jest ostona afer klas posiadających przez inicjowanie drobnych efektownych skandalu. „Na przykład zaczynają mówić o przekupstwie senatorów. Biuro natychmiast organizuje szereg przekupstw organów policyjnych i ogłasza ich sprzeczność przed publicznością. Pogłoski kapitulują przed faktami”. Takim międzynarodowym już biurem jest u Erenburga „Transoc” z „Dziwiągłej fali”. Tu chodzi o rozpętywanie historii wojennej przez organizację prowokacji, mającej na celu udowodnienie rzekomej agresywności ZSRR. Pisarz przeprowadza niemiernie ostrą atak, równie bezwzględna jest jego pogarda, równie chłopska ironia, podobne metody demaskacji.

Może się komuś wydawać paradyksem twierdzenie, że Erenburg jest obrońcą zachodniej kultury. A przecież spełnia on te role we wszystkich prawie swych utworach. Kreśląc sylwetkę Amerykanina, inspirowanego atomowej historii we Francji, ukazuje jego niszczycielski stosunek do kultury. Przepada za przemocą, dążącą do piękna, a działalnością amerykańskiego inspirowanego zagłady uderza i w rosyjskiego Lenciera z „Dziwiągłej fali”. Notre Dame, Michał Anioł, Rafael... Tego broni Erenburg; nie tylko przed wojną i zagładą, ale również i przed „szukaniem”, która ogłupia i przeraża, która wychowuje morderców i rozpętuje historię, przed sztuką sprzedawaną i kupowaną, tak jak kupowani są jej twórcy, pasyżujący na łatwiznie propagandy wojennej.

Obrońcą kultury wiąże się u Erenburga z obroną jej narodowego charakteru wobec kosmopolitycznych zabiegów ideologów „ery atomowej”. To jeden z głównych problemów jego piórowej publicystyki i bojowej prozy. Podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej — radziecka chłopka z książkami Lwa Tołstoja na poście skromnej chaty, przeciwstawiona „cywilizowanemu chamom”, pałacem dzieła Henego; w powojennej Francji, przeladowanej nadrealistyczną, ogłupiającą szmizą — gołą Picassu przypomina, nie tylko malarzowi, o roli sztuki. Kultura skupia w sobie myśli, piękno i życie narodu — jego istotę.

Bromiąc sztuki narodowej, broni Erenburg przede wszystkim prawa narodów do niepodległości. „Lepiej umierać po francusku, niż żyć po amerykańsku” mówi w jednej z jego powieści robotnik francuski. I nie tylko mówi — bo klasa robotnicza i jej partia jest w utworach Erenburga produkującym obrońcą i niepodległości, czołową siłą w walce o pokój, wzorem patriotyzmu. Piękny wyraz uzyskała ta naczelna tendencja ideowa całej sztuki Erenburga w ostatnim jego przemówieniu na Kongresie Narodów w Wiedniu.

Erenburg nie tworzy nigdy w swej prozie i publicystyce schematu. Każda postać jest u niego indywidualnością swoistą; pisarz nierozerwalnie łączy odruchy psychiczne z obiektywną propagandą wojenną. W wielu wypadkach przecieże własne przekonanie człowieka o życiu jest sprzeczne z jego postępowaniem w życiu. Tej sprzeczności podlega często ludzkie obcość wojny. Zbliżają się oni lub oddalają od zrozumienia swego zakłamania. Dla jednych jest ono hazardem i rozkoszą, dla drugich porywającym domem, z którego nie mają już siły wyjść, choć są, tak zakłamanie, że czasem brzydzą się tymi, którzy mówią o wojnie cynicznie i otwarcie. Galeria postaci i takich zwolenników „ery atomowej” potrafił przedstawić Erenburg, bez popadania w jednostronny schematyzm „czarnych charakterów”.

Obok utworów Erenburga nie można przejść obojętnie. Artysty pisarski prowokuje reakcję uczuciową czytelnika. Kontrasty świata, jakie przedstawia pisarz, powodują, że jest on gwałtowna i zmienna. Smutek obok radości, gniew obok spokoju, obok nienawiści, miłość. Nienawiść Erenburga jest skierowana przeciwko naciągaczom „starego”; sympatię pisarza mogą zdobyć jedynie ludzie idący w przyszłość. Zgodność postępowania z przekonaniem i płynące z tego poczucie wolności jednostki i celowości życia jest dostępnym człowiekowi wtedy, gdy życie jego nie znajduje się w sprzeczności z obiektywną logiką postępu. W bezsensie ustroju, w którym żyje zachód, osiąga ją jedynie ludźle, którzy walczą o nowy lepszy świat. Miłość — to ostatnie 500 franków, przestanię strajkującym górnikom przez matkę trzech zabitych na wojnie synów; miłość — to kwiaty rzucane przez robotników francuskich dla radzieckich delegatów na Kongresie Pokoju; miłość, to wreszcie wspólna droga chłopca i dziewczyny francuskiej, wojowników o pokój. Z obrazu tragedii człowieka i tragedii społeczeństwa dolarowego imperium, ocala Erenburg, coś, czego nie można ani kupić, ani sprzedać — wartość w osiągnięciu ludzkiego szczęścia. Z czego ona wypływa?

Na Wszechzwiązkowym Zjeździe Pisarzy Radzieckich Erenburg powiedział: „Jedno nie ulega dla mnie wątpliwości — jestem zwykłym pisarzem radzieckim. To moja duma”. I dalej: „Nie piszę po prostu książek, zmieniamy z ich pomocą życie, co niezwykle zwiększa naszą odpowiedzialność”. W tych słowach zamknięta jest odpowiedź na postawione przez nas pytanie. Szczęście jest osiągalne, bo osiągnęli je już ludzie budujący nowe życie. Szczęście jest osiągalne, bo obrazuje je pióro-pisarza w służbie idei postępu, bo walczy o nie jego stowu delegata na światowych Kongresach Pokoju, pisarza, który w swym ostatnim artykule stwierdza: „U progu roku 1953 możemy powiedzieć, że waga historii drgnęła; pokój przeważa wojnę”.

Mieczysław Inglot

Książki polskie o współczesnej Francji

WITOLD BILLIP

O DRODZE POWROTNEJ

NOWA powieść Jerzego Broszkiewicza* — to książka o trudnym dojrzeniu polskiego dziecka na emigracji, to książka o internacjonalistycznych perspektywach patriotyzmu i o drodze powrotnej emigranta do kraju. Wartość ideową — poznawczą powieści przekracza zresztą zdecydowanie zakres, który sugerują powyższe trzy formuły. Ambicje autora były bardzo poważne: zapragnął on dać w ramach utworu kilkusetstronicowego obraz całokształtu życia we Francji w latach od zakończenia wojny do okresu, w którym podnoszą głowę reakcje nie uważała już za konieczne udawać współpracę z komunistami, w latach od czasu, gdy Komunistyczna Partia Francji organizowała w trudnych warunkach powojennych wydobycie węgla, do momentu, gdy kopalnie spod władania narodu przeszły już zdecydowanie na własność burżuazyjnego rządu i ta sama KPF stanęła na czele krwawo tłumionych strajków górniczych. Jeśli dodamy do tego, że powieść zaczyna się jeszcze w okresie okupacji hitlerowskiej i daje tej okupacji wcale pokazywać przekrój. Jeśli pamiętać będziemy, że sprawy Polaków we Francji ukazane zostały na tle tego, co w Polsce działo się przed wojną, a przede wszystkim na tle przemian powojennych — jasnym się stanie, że Broszkiewicz wziął na swe barki niemały trud pisarski. Czy i o ile zdążył go podźwignąć? Zanim przejdzie do odpowiedzi na to podstawowe dla oceny książki pytanie — parę uwag niezbędnych dla ustalenia kryteriów oceny.

Książkę Broszkiewicza wydała „Nasza Księgarnia” jako powieść dla młodzieży. Nie trzeba chyba już dziś dowodzić, że przyporządkowanie utworu do grupy dzieł dla młodych czytelników nie może w żadnym wypadku oznaczać obniżenia kryteriów oceny, przeciwnie — spowodować musi zaostrożenie tych kryteriów. Nie do rzeczy może jednak będzie przypomnienie innego twórczości: twórczość dla młodzieży ma swoje specjalne wymagania, wynikające ze szczególnych warunków, w których wychowawczych, z konieczności przekazywania czytelnikowi trudnej wiedzy o świecie w formie przystosowanej do jego poziomu, a więc bardzo prostej i ideowo klarownej, poprzez żywe, przeżywające obrazy, które by trafiały do uczuć i fantazji dziecka, kształtowały jego światopogląd i poczucie piękna.

Powyższa dygresja wprowadza zasadnicze uzupełnienie do pytania postawionego w wstępie. Będzie ono teraz brzmiało: czy Broszkiewiczowi udało się w ramach powieści dla młodzieży podźwignąć w pełni

*) Jerzy Broszkiewicz. Jacek Kula. Warszawa, 1952. Nasza Księgarnia, s. 413.

JÓZEF RURAWSKI

NIEWYKORZYSTANE MOŻLIWOŚCI



Jerzy Pytlakowski

ROK 1952 przyniósł nam szereg książek mówiących o życiu i walce klasy robotniczej krajów kapitalistycznych. Światła powieść Strykowski „Bieg do Fragała” ukazała walkę, jaką prowadzi lud włoski przeciw rozbiciemu i obcym kapitalistom. O nieugiętej postawie robotników francuskich mówiły książki Niny Rydzewskiej, Broszkiewicza, częściowo St. Kowalewskiego i innych.

Fakt, że wielu pisarzy zajęło się tym właśnie zagadnieniem nie może być oczywiście przypadkiem. Rzecz prosta, że potrzebne nam są dobre książki ukazujące bohaterstwa, nieugiętą postawę klasy robotniczej krajów kapitalistycznych. Potrzebne, bo poprzez obrazy literackie zbliżają do nas ludzi o których walce czytamy w prasie codziennej. Potrzebne, bo jeszcze bardziej jaskrawo, jeszcze bardziej wyraziście pomagają nam zrozumieć jak wspaniałą i trudną drogę przebyliśmy, jak wielkie są nasze osiągnięcia i sukcesy, jak inne nasze życie wolne od wyzysku własnego i obcego kapitalu.

Ale jeśli sięganie do tej tematyki staje się zjawiskiem zbyt częstym, wówczas sprawa zaczyna być niepokojąca. Rozumiemy intencje autorów. Nie mniej jednak czytelnikowi musi nasuwać się pytanie: Czy to przypadkiem nie jest jedna z form

ucieczki od tematyki naszego własnego, trudnego i pełnego woli konfliktów życia? Czy przypadkiem nie jest to odpowiednik sytuacji we współczesnej dramaturgii, w której nawał sztuki historycznych spowodował iż w kręgu jednego z krytyków, trudno utrzymać na scenie zwykły, codzienny, współczesny garnitur?

Jak więc ocenimy niedawno wydaną książkę Jerzego Pytlakowskiego „Pożegnania z Fernandem Garimau” — „I tak można żyć” i „Liści”. „Sprawa małżonków Garimau” — pisze Pytlakowski — jest niezwykle dobitnym wynikiem obecnych czasów. Postanowiliśmy wykażać na przykładzie jedynolitego dzieła tego małżeństwa, jak zbrodnia polityka reakcyjna usiłuje, stara się niszczyć życie człowieka, który nie jest żadnym politykiem, lecz który silnie rzeczy: przez swą pracę, swe żywotne interesy należy do obodu postępu”. Uzupełniamy tę odczytującą wypowiedź. Opowiadanie mówi o... Właściwie trudno w dwu słowach streścić to opowiadanie. Można by powiedzieć, że jest to historia robotnika, który przez swą łatwowierność i zbytnią ufność do ludzi spowodował poważne komplikacje w akcji strajkowej i naraził swoją żonę na brutalne represje ze strony policji. Można tak powiedzieć ale to nawet w połączeniu z cytowaną wyżej wypowiedzią autora nie da pełnego obrazu. Dlaczego? Dlatego, że opowiadanie jest niesłychanie splecione, że główna sprawa gubi się w wielu wątkach, jeśli nie głównych, to z pewnością nie mniej ważnych. Ale opowiadanie jako gatunek literacki ma swoje wymagania. Zmusza autora do powściągliwości, zmusza do skupienia uwagi na jednym problemie i właściwie uniemożliwia zbyt nie rozbudowanie tego problemu wieloma innymi, bo wówczas powoduje wrażenie niezamierzonych przez autora skomplikowania i rozleciałości. A tego nie uniknął niestety Pytlakowski. Piszę niestety, bo mimo iż

wszystkie wątki wiążą się z zasadniczym, wypływają z niego i uzupełniają go, jednak autor nie zachował odpowiednich między nimi proporcji, a przez to nie uniknął wrażenia rozleciałości i chaosu. Ta wielotorowość wątków znalazła także wyraz i w samej formie opowiadania, które w pewnych partiach pisane jest w formie bezosobowej narracji odczuwalnej, w innych zaś autor wprowadza postać narratora, biorącego czynny udział w akcji opowiadania.

Wydaje się, że skrócenie wątku mówiącego o działalności angielskiego korespondenta Stewessa weale by opowiadaniu nie zaszkodziło, tym bardziej, że do tego właśnie wątku odnosić się będą główne zarzuty recenzenta. Najważniejszą sprawą wydaje mi się tu zasada ośmieszania przeciwników.

Stewess korespondent brytyjskiego koncernu prasowego, który według słów autora: „Miał nie tylko kształtować opinię publiczną swego kraju, lecz przede wszystkim miał być oczyma i uszami tych, którzy najbardziej wpływal na tę opinię” — nie mógł być na pewno głupcem. Musiał to być kłut na cztery nogi wyga, cwany i sprytny Tymczasem tak oto charakterystyka go Pytlakowski: w momencie zetknięcia się z policją z okupującymi fabrykę robotnikami: „Najnieoczekiwany wzmieszał się w całym spor korespondent brytyjski Stewess. Zwrócił się do nas cieniem z nateżeniem głoskiem, który sam przez się już pobudzał do śmiechu. Miał wyrażać treme, brakowało mu słów, pomagał sobie nogami drepcząc w miejscu...”

Nie jest groźny wróg, którego można tak łatwo ośmieszyć, wywołuje on jedynie uczucie obrzydzenia i politowania. Zresztą wrogowie u Pytlakowskiego są nie tylko śmieszni. Nałwini i głupi w działaniu, przejawiają niezwykle przenikliwość w dostrzeganiu zbrodniczości swego postępowania i heroiczną odwagę w samobójczym. Po wykryciu przez robotników policyjnej prowokacji Stewess rozmawia z jednym z wysokich urzędników policji politycznej Touseritinem, człowiekiem, który uchoł się za wszechwiedzącego, szczerą łos. Oto co mówi Touseritin: „Komuniści schwytyli nas za rękę,

zeologię taką, jak: „...zart szkolny rozdził się gdzieś w połowie drogi pomiędzy nim a Maksem Plevetem” lub „równocześnie wielorakość owych inności”. Tak się nie pisze dla młodzieży. Młodzież, która zrozumie i oceni tego rodzaju pisanie powinna już czytać literaturę „dla dorosłych”. W czasie lektury „Jacek Kula” nasuwa się nieodparcie przekonanie, że ma się do czytelnika z niedoświadczenia i konsekwentną przeróbką „młodzieżową” książki, która w pierwotnym zamierzeniu miała być przeznaczona dla czytelników dojrzałych. Stąd peknienie, nie jedynie zresztą, jednolitego kształtu artystycznego powieści; tu leży, nie jedynie zresztą, przyczyna zamięcia jej komunikatywności i zmniejszenia sfery oddziaływania.

Sprawa druga. Przeczytajmy fragment:

„Pewnego dnia — a był to jeden z dni marca, słoneczny i ciepły — Kula został wywołany z geografii. Podszedł do mapy.

— Opowiedz — rzekła pani Lachiche. — Opowiedz nam o Polsce. Uśmiechnął się — w uśmiechu była wdzięczność. Odgarnął z czoła włosy.

— Polska — zaczął — jest pięknym krajem...

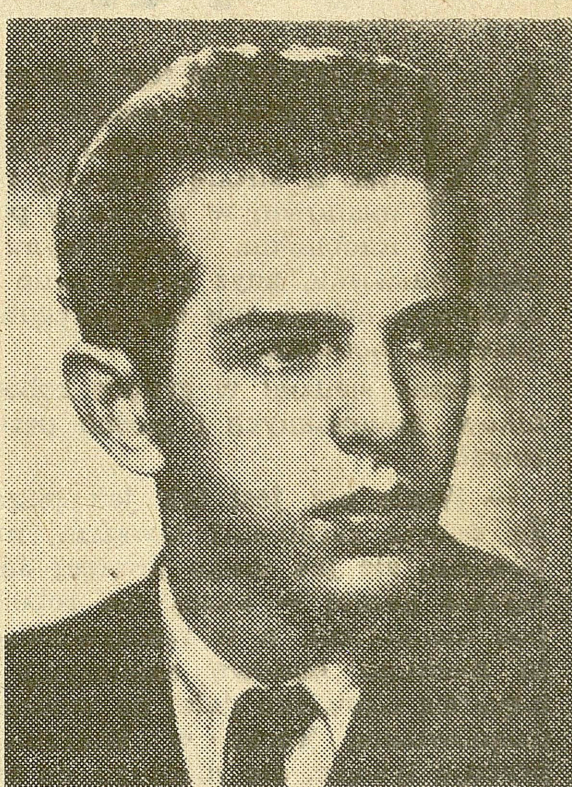
— Jakże? — przerwała. — Nie widziałeś jej nigdy. Więc skąd wiesz?

— Wiem — powiedział ostro.

— Mów dalej — uśmiechnął się z nieoczekiwaną dla siebie samej czułością.

— Polska — powtórzył raz jeszcze, patrząc jej prosto w oczy — jest bardzo pięknym krajem”.

To jest niewątpliwie dobre pisanie. Takich przykładów można by mnożyć wiele: trytady Fasellego, pierwszy wiec i przemówienie ojca Rouget, wiec z Zimorowiczem, wszystkie rozmowy Jacka z Joanną (bardzo miło i ciepło przedstawiona jest ta półdziesiętna miłość), scena w więzieniu i wywody Marcela — itd. itd. Każdy ze wspomnianych fragmentów to załączek opowiadania albo nawet całe opowiadanie. Niektóre z nich odznaczają się wielkim napięciem dramatycznym, wyrazistością i plastycznością (widzi się wprost starego Grzesiaka, który mówi londyńskiemu wysłannikowi: „Idź precz”), inne — najsłabszym, choć przytłumionym tonem lirycznym (Joanna cerująca Jackową koszulę). Lecz autorowi, tak swobodnie poruszającemu się w fakturze drobnego opowiadania, wyraźnie nie starczyło tchu na powieść Gdoby książka była tylko zbiorem obrazków o luźnej kompozycji — byłoby jeszcze pół biedy. Jest gorzej: „Jacek Kula” to bardzo zresztą ogólnikowa kronika z dzieł ówczesnej Francji, ilustrowana swietnymi nierzad obrazkami z życia polskich i francuskich górników. Zawartość ideowo-poznawczą tych obrazków starczyłoby na dobrą po-



Jerzy Broszkiewicz

wieść, kiepska publicystyka to tylko wynik chęci dopowiedzenia za wszelką cenę tego, co się w ramach akcji nie zmieściło, a co w myśl najlepszych tradycji „wszystkożmu” konieczne trzeba było „uwypuklić”. Tu jest pole do popisu dla miłośników tzw. „psychologii twórczej”. Normalne pytanie: „co autor miał na myśli?” zastąpić można takim: „czy autor naprawdę sądził, że ukazać typowość kopalni Moligny można tylko przez odpowiednią wstawkę publicystyczną, czy też może sądził inaczej, a tylko nie zdążył odnaleźć odpowiedniej formy wypowiedzi artystycznej?”

Następna ze spraw pokrewnych. Broszkiewicz zupełnie nie umie konstruować intrygującej fabuły w skali całej powieści. Osiąga — jak to już wspominałem — znaczne napięcie dramatyczne w ramach typowych struktur nowelistycznych, jasne jest jednak, że w ten sposób rezygnuje właściwie z jednolitego, przejrzystego szkieletu akcji, przyciągającej przez cały czas uwagę czytelnika. Nie trzeba dodawać, jak bardzo ryzykowne jest zastosowanie tego rodzaju metody pisarskiej w książce dla młodzieży.

Powyższe zastrzeżenia odnoszą się do świadomej przyjętych i konsekwentnie realizowanych założeń autorskich. Są jednak i potknięcia, które się w ramach żadnej koncepcji wytłumaczyć nie da.

Mniej rażące wypadki powtarzania słowami publicystyki tego, co już w pełni zostało wyrażone w obrazie artystycznym, zdarzają się w książce często.

A oto wnioski z analizy. Jeśli nowej książki autora „Oczekiwanie” nie sposób skwitować po prostu jako chybioną powieść, to dla tych wartości utworu, które kryją się w nim pomimo błędnej koncepcji całości. Stwierdzić bowiem trzeba, że stosunkowo zwarty i pełny kształt artystyczny otrzymały jednak sprawy najważniejsze — kwestia doj-

(dokończenie na str. 7)

(dokończenie na str. 7)

MŁODZIEŻY CHŁOPSKIEJ W PRZEMYSŁE

HENRYK PAWLAK

W rejonie Wierzbicy

PRZEKAZYWANIE DZIEDZICTWA TRWA

NAPOTKAŁEM tego człowieka w przeładowanym wagonie pociągu, który wiozą nas w stronę wielkiej cementowni w Wierzbicy pod Radomiem. Nie wymyślam nazwiska, gdyż prosił mnie o dyskrecję, nadając mu dla porządku nazwisko Sobczak.

Sobczak siedział w grupce robotników budowlanych i głośno perorował:

— Wcale nie jest tak jak piszą. Że dobrze zarabiam? Owszem, nie powiem, ale jak długo jeszcze? Jak czytacie gazetę — każdy ma roboty pod dostatkiem, a w rzeczywistości to niedługo budowę skończymy i męcz się człowiek dalej na własnej dziedzinie. Teraz w Wierzbicy pracuje tysiące, ale niedługo do tej ichniej techniki starczy 200 ludzi.

— Ja tam się nie martwię — wtrącił się inny robotnik — a bo to tylko jedna Wierzbica w Polsce budują? Skonczysz tu — zaczynasz gdzie indziej.

Ale Sobczak nie był przekonany. Zwrócił się do mnie zupełnie nieoczekiwanie, jakby spodziewał się, że go poprę.

— Nie mogę się przenosić z miejsca na miejsce. A bo to ja cygan? Kawałek ziemi mnie trzyma. Pola nie rzucę, choć to działość, ale dzisiaj i na krowinie zarobisz, jak mleko odstawiasz, czasem się ze dwie świnki uchowa. Gdzie ja pójdę? Na koniec kraju, kiedy stara i dzieciśka tu?

Nie zabrałem głosu. Zdetonowało to Sobczaka tak dalece, że milczał przez całą drogę, a w końcu poprosił, żeby zataić jego nazwisko, jeżeli chciałbym wykorzystać to co mówił.

Należy doprawdy żałować, że w pobliżu Wierzbicy nie ma wysokiego wzgórza, z którego dałoby się ogarnąć całość imponującej budowy. Przeszedłem niemiły kawałek drogi od kamieniołomów aż po cementownię. Wszędzie setki ludzi, zatrudnionych przy najrozmaitszych robotach budowlanych.

Najbliższe powiaty w Kieleckim okalają Wierzbicę. Kozienicki, radomski, i kielecki. O tych to stronach pisał Żeromski: „W innej okolicy wynosi się opuszczony pies”. Ale ludzie nie mieli gdzie iść. Ilość spolegliwych, biednych gospodarstw, wynosiła w tych powiatach przed wojną przeciętnie 40 — 50 proc. ogółu. Prymitywna gospodarka powodowała, że ziemia niesłychanie mało wydawała. Pobliskie wsie Osiny, Krzyżanowice, Polany, Trębówce zbierały 10—11 q żyta z ha. Na tej ziemi procent ludności z wyższymi wykształceniem wynosił — 3, a analfabetów — 45 w sąsiednim powiecie — Iłża!

Przylączyła się do nas młodzieńka 23-letnia „ojciec” cementowni — Kazimierz Walkiewicz. Gościnność zetem powołał, chcąc pokazać wszystkiego, jest wprost żenująca. Zmuszając mnie do wchodzenia w rozmaite zakamarki, wspinał się po drabinach, wlażył pod piec. Co gorsza drapie się na nie. Z takiego właśnie pieca koleżanka Zosia wskazywała na domek-budę, ostatni ślad tutejszego, dawnego „pustkowiata”. Dym z komina szedł prostą smużką, nawiśnie, jak na dzieciennym rysunku.

Lecz mnie — przynajmniej szczerze — mniej to wszystko interesowało. Jasne, młodzi przyzwyczajeni do dziennikarzy, pokazują wielkie silosy, tony klinkieru, roznach budowy i kilku szandarowych przodowników, jak się ugarca — poszukajcie mi tych dwóch z pociągu, bo to reprezentanci podstawowej masy robotników budowy.

— Do diabła z takimi robotnikami — koledze Kazimierzowi wyrwało się to oświadczenie jakoś mimo woli.

— Do diabła, a to czemu? Jest! Sobczak pracuje w brygadzie ziemnej. Kieruje nią Józef Rola, przodownik pracy. Zapytany o organizację pracy referuje spokojnie.

— Jak się pracuje? Zwyczajnie, łopata. Kto chce zarabiać, to musi szybciej machać. Lepiej robisz, lepiej zapłacę. Kto bumeluje, to go spławiam do innej brygady i takie buty.

Malinowska i Walkiewicz byli wyraźnie zmieszani. Ładna odpowiedź dla przedstawiciela prasy, nie ma go!

Tymczasem sprawa daje się wyjaśnić w sposób przekonujący. Znaczną część robotników, dojeżdżając tu co rano, to po prostu małorolni chłopcy z okolicy, takie właśnie Sobczaki. I to więcej chłopcy niż robotnicy. Cała ich życiowa ideologia mieści się w słowach Roli — jak najwięcej zarobić. Opowiedział mi o tym szczegółowo Sobczak. Na dalsze budowy nie pójdą. Zarobione pieniądze lokują w gospodarstwie.

Ano — kupić maćkorkę, krówkę — jak Bóg da — podperować chalupe — powiedział Marian.

Za chwilę wrócił, trzymając w ręku „kopciucha”. Dopiero teraz mogłem mu się przyjrzeć. Był szupłym, średniego wzrostu szatynem, o twarzy pełnej, pogodnej.

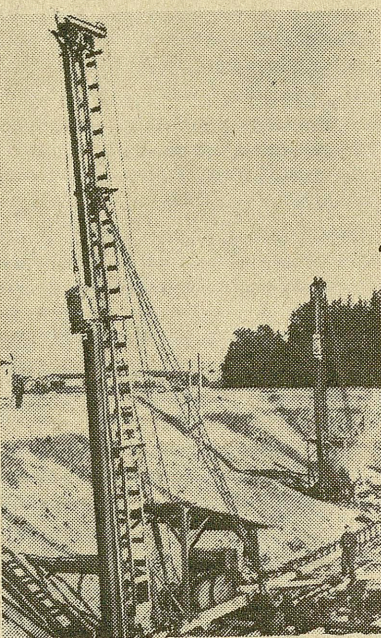
— Stuchaj-no — powiedział delegat z powiatu, nacylając się nad stołem, Marian wyciągnął go nie mówiąc, Marian wyciągnął go nie mówiąc, Marian wyciągnął go nie mówiąc.

Z Józefem Rolą sprawa nieco inna. I on chce — co prawda — jak najwięcej wyciągnąć pieniędzy z

Wierzbicy, ale myśli o zdobyciu stałych kwalifikacji, które pozwolą mu osiąść przy jakimś zakładzie pracy na stałe. Na gospodarkę nie stawia już. Pieniądże potrzebne są mu na przeżycie.

— Nim się co stałego złapie — też trzeba żyć — powiedział mi spokojnie.

Od strony brygady murarzy, cięli i zbrojarzy niósł się wesoły śpiew. Wyglądali na prawie bez troski ludzi. Byli młodzi od swoich kolegów z brygad ziemnych. Są to przeważnie chłopcy z pochodzenia, ale



ich związki z macierzystymi gromadami znacznie się już rozluźniły.

Urządzą błyskawiczną ankietę na małym odcinku budowy. Bierze w niej udział około 40 robotników.

— Kto pracuje po raz pierwszy — ręką do góry!

Podobał się im taki sposób badania. Nikt nie podniósł ręki. Okazało się, że wszyscy pracowali już przy budowie, lub rozbudowie zakładów pracy. Głównie w rejonie Skarżyska — Wierzbica — Starachowice. Ale znalazło się kilku z Żerania i Gorzowa.

Zarabiała dobrze. Jeżeli bowiem Rola przy dużym wysiłku przekro-

CZESŁAW MICHNIAK



JCIEK Mariana posiadała w Ładku półtora hektara ziemi i konia, którym jeździł po drzewo do lasu. Ludzie mówią: stary Czerwec jest wozem. A ma kogo wyżywić — żonę, pięcioro dzieci i teściową — staruszkę.

Mariana, czwartego z kolei syna, gdy skończył szkołę powszechną, rodzice oddali do terminu. „Krawiec męski i damski” a także od wielkiej biedy — wojskowy nazywał się Golebiowski i mieszkał w Łagowie. Osada jest parterowa z wielkim rynkiem pośrodku i kilkoma uliczkami, które za ostatnimi domami wpadają zaraz w głębokie parowy, to znowu gubią się w polach, obłożonych miejscami grubą warstwą lessowej gliny.

Nauka szła dobrze i już po pół roku chłopiec potrafił skrócić spodnie. „Będą z ciebie ludzie” powtarzał mu często majster. „Masz dryg do tej roboty, pamiętaj, że krawiec two to najpiękniejszy z zawodów” a chłopiec nie lenił się.

Poznałem go w październiku ub. r. Siedzieliśmy w mieszkaniu Czerwów we trzech — przedstawiciel ZMP z powiatu, Marian — i ja.

Pogoda była paskudna. Wiatr trząsał chałupę jak niecierpliwego ogrodnika drzewkiem owocowym. Nasze twarze zamazywał wczesny zmrok.

— Poczekajcie, przyniosę lampę — powiedział Marian.

Za chwilę wrócił, trzymając w ręku „kopciucha”. Dopiero teraz mogłem mu się przyjrzeć. Był szupłym, średniego wzrostu szatynem, o twarzy pełnej, pogodnej.

— Stuchaj-no — powiedział delegat z powiatu, nacylając się nad stołem, Marian wyciągnął go nie mówiąc, Marian wyciągnął go nie mówiąc, Marian wyciągnął go nie mówiąc.

— Poproście kolegę Czerwca...

czy 1000 złotych, to tu każdy osiągnie bez trudu znacznie więcej.

W czasie rozmowy doznawałem zmiennych uczuć. Z jednej strony cieszył mnie fakt, że ludzie ci postanowili już jasno i wyraźnie zostać w szeregach robotniczych. I jeszcze to mnie radowało, że z dumą wypowiadali takie przykłady zdania:

— Ano, budowanie to całe moje życie...

— Ale też mamy teraz kraj, gdzie się ruszysz — wołają o zbrojarzy!

— Chciałbym cały kraj tak zejść wzduż i wszczeg budować.

Lecz zjawiały się również niepokojące. Toż to armia specjalnego typu wędrowników, barakowych koczowników. Antagonista Sobczaka — Mielnik opowiada ze śmiechem, że studiując dokładnie mapę kraju, wie, gdzie co się robi, na żadnej budowie do końca nie zostaje, lecz leci dalej, żeby mu miejsca nie zajęli. Wywiał mianowicie dopiero co ze Starachowic do Wierzbicy i już kombinuje, gdzie by się dalej ruszyć.

Ci budowlani to doprawdy zdolni robotnicy. Wielu z nich przydało by się na stałe w Wierzbicy. Lecz żaden nie zostaje, pakuje swój kuferek i tyle go widac.

Dlaczego? I tę sprawę można wyjaśnić. Oto budownictwo jest dobrze płatne. Potwierdzą to członkowie stałej załogi cementowni, młodzi ZMP-owcy.

Jakże więc postępować, by Sobczaki przestali myśleć kategoriami drobnych posiadaczy, nie zawracali w pół drogi na wieś, by tak zdolni ludzie jak Mielnik nie pedzili w pogoni za groszem z miejsca na miejsce, lecz osiedlili się przy wielkiej fabryce, założyli wreszcie rodziny?

Porządek tu taki: nad ranem przepiękne pociągi, wydławane samochody, ów tak charakterystyczny dla Kielecczyzny środek lokomocji, dowożą ludzi z okolicznych gromad, odległych nieraz o kilkadziesiąt kilometrów. W przerwie obławowej siedzą nad gazetami. Jest to bardzo osobliwy widok: wiele setek ludzi chowa głowy w „Trybunie Ludu”, kieleckim „Głosie Ludu”, czy „Życiu Radomskim”.

— Ale trudno tu o systematyczną

pracę uświadamiającą. Ludzie uciekną nawet z zebrań, czy mównic, skoro podjedzie pierwszy samochód. Nawet stała młodzieżowa załoga cementowni w większej części dojeżdża. Widziałem starą, pożyłką gazetkę ścienną, wiszącą od wielu miesięcy. Podstawowa masa robotników chętnie ogląda filmy pokazywane od czasu do czasu przez kino objazdowe, oklaskuje przyjeżdżające ekipy Artosu, śledzi uważnie przedstawienia teatralne, urządzane zresztą rzadko, ale sama życia kulturalnego i politycznego budowy nie tworzy. Nie ma na to czasu. Po pracy każdy myśli o powrocie do domu.

Zastanawiałem się długo nad problemem Roli. Toż to sprawa znacznej części załogi, Robotnik zdolny i nie prawdą jest, że myśli tylko o zarobku. Pamiętam jego słowa:

— Jak się człowiek obejrzy, aż dziw bierze, taką fabrykę wielką, jaką postawił! Ludzie w mojej wsi aż nie bardzo wierzą, żeby tyle cementu dawała.

Nie wyszukane słowa, ale od razu w nich jakąś nieświadomą dumę polityczną z faktu współudziału w pracy nad jedną z największych cementowni w Europie.

I znowu problem wcale nie nowy. Nieraz pisało się już o tym. Wciąż jeszcze brakuje nam właściwych metod na odcinku pracy polityczno-wychowawczej nad chłopami, którzy idą w stronę klasy robotniczej. Pod tym względem Wierzbica przypomina Tychy, gdzie także — jak pisało — organizacje polityczne i Rada Zakładowa nie dają sobie rady w walce o pełną, socjalistyczną świadomość robotnika.

W Wierzbicy odbywa się pewien znamieny proces, który można nazwać przekazywaniem dziedzictwa. Stała załoga, obsługująca samą cementownię — to młodzież. Właśnie tacy jak Malinowska czy Walkiewicz. Zatrzymaliśmy się na dłuższą przy obliczeniach silosach. Walkiewicz z niekłamym entuzjazmem opowiadał jak powstawały. Kilku ludzi dźwięgało dzięki maszynom całe obryzanie rusztowania na zawrotną wysokość. Chło-

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

Ludzie przywarowali w dowierzchniach. Na filarze nie było żywej duszy. Nagle rozległ się grzmot. Marian podniósł wzrok. Od ściany szedł czarny tuman pyłu. Wykrota dał znak ręką, że już. Podniósł się do szturmu. Powoli zaczął się odsłaniać las stempli. Przyskoczyli do ściany. Oskardy zachrzęściły na ociosie. Łaty węglowe spadały kawałkami na oсыpisko. Stronizna biegle rynnę, podając sobie węgiel. Jak ludzie wiadro wody w czasie pożaru. Marian chwyciłszy za łopatę lunął na nie pierwszą porcją urobku. Rynnę poniosły go do chodnika poprzecznego i dalej na tasmę.

Zdjął bluzę i koszulę. Oczy za rzęzy się przejęciem. Nagli tors chłopca świecił się od potu.

Wykrota zerkał na swego ładowacza. Helm przekrzywił mu się śmieśnie na głowie.

Wykrota zauważył że ruchy Mariana są nieskoordynowane, nerwo-

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

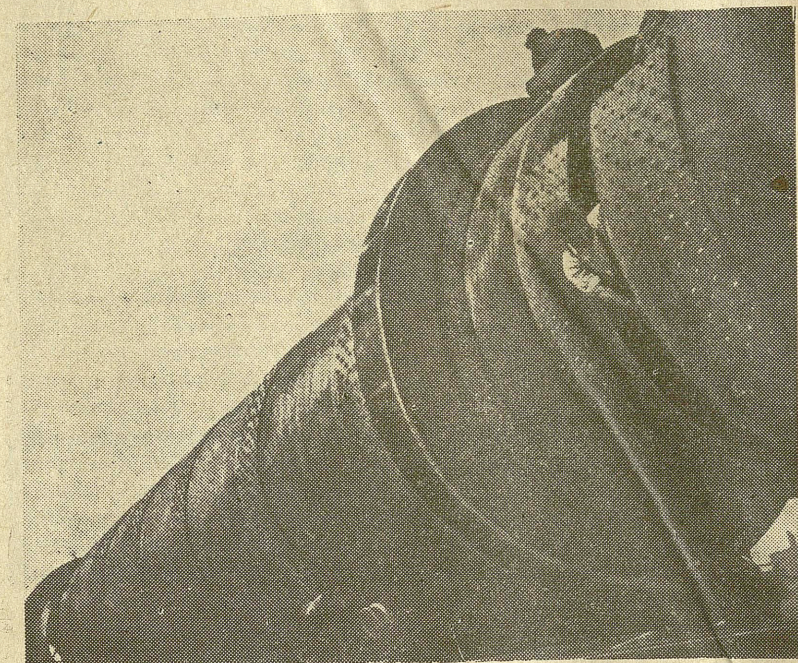
— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.

— Idziemy, pieronie — rzucił gniewnie.



paka urzekała wspaniała technika radziecka, zaimponował mu kolektor inżynierski, techników i majstrów radzieckich. Przeglądał się ich pracy, kiedy zszedł ze swojej zmiany. Nie mógł w żaden sposób rozstać się z cementownią.

W kamieniołomach i mnie porwało, kiedy zobaczył olbrzymie łamacze i potężne dźwigi.

Z synu, po których jeździł dźwig sypał się skry.

Tu w kamieniołomach pojawił się na widowni nowy bohater mojego reportażu — Edward Seweryn, przewodniczący zakładowego koła ZMP.

Najpierw wystąpił w roli „ojca”. Wypędził po prostu dwóch chłopaków, którzy chcieli w pudle dźwigu trochę sobie w powietrzu pospacerować. Speszzeni, uciekli jak zmyli.

W oburzeniu Seweryna, które brałem początkowo za zwykłą u młodych chłopców popisaną się, zauważyłem wiele troski o człowieka.

— Wyłeci taki dureń i co będzie? A ma przecież przyszłość przed sobą.

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

— Ale do rzeczy — w czym się wyraża owo przekazywanie dziedzictwa? Seweryna przygnała do

Wierzbicy chęć zarobku — sam się do tego przyznał. A co go zatrzymało? I czy tylko tego?

Młodzi to gospodarze cementowni. Żyli się z fabryką, znają każdą maszynę na wylot, objaśniają każdy dosłownie mechanizm. Przypomni mi się radziecki film o-brazujący powstawanie Komsomolska. Cóż — Malinowska, Seweryn także sypiali tu pod gołym niebem w letnie noce, nim powstał niewielki jeszcze hotel robotniczy.

To pokolenie nie jest tak obciążone jak Sobczak relikami przeszłości. Co innego bowiem jest porzucić stare gniazdo na rzecz nowego, co innego własnymi rękami budować pierwsze w życiu własne gniazdo.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszymy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszymy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszymy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszymy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszymy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszymy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszymy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszymy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszymy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszymy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszymy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już piękny gmach dyrekcji, będzie już i osiedle.

Przypomniałem Sobczaka i Rolę. — To potrwa kolego, ale oni tu zostaną. Obok pracy ideologicznej, którą ruszymy, silniejszą wymowę będzie miało nowe miasteczko na mapie — Cementownia. Nie wiem zresztą jak je nazwiemy.

— Nie mówcie o pieniądzu — Seweryn powiedział to poważnie — mamy już

NIETYKORZYSTANE MOŻLIWOŚCI

(dokończenie ze str. 5)

Pytlakowski zarysował obraz tego środowiska z dużą przenikliwością i znajomością rzeczy, demaskacja niebieskich ptaków emigracji obfituje w książce w dobrze uchwycone momenty: „Gdy Czerwinskiemu potrzebne były pieniądze, przychodził do Przemyskiego i mówił: Tak, stary, do brze mi z tobą, dobrze mi z wami, lecz czas już na mnie. Nic tu po mnie — mojej nieobecności nawet nie dostrzegacie, a ja się starzeję. Chciałbym już osiąść na stałe, dośmam już tej ciągłej tułaczki po hotelach i pensjonatach... Czas, doprawdy czas — Przemyski nie próbował zwykłych w tym wypadku argumentów: zdrada, walka itp. Pytał po prostu: „Ile?” i ostateczna wysokość pożyczki, dotacji, czy jak kto woli zapomogi została w końcu oznaczona”. Tacy jak Czerwinski występują się wszystkim, którzy dają pieniądze, z takich jak on rekrutują się kadry, na które liczą pułkownicy Zaleszczyce w swej służbie dla „sioni” i „żyraf”. Pomimo ostrości i celności pisarskiej satyry i w tym opowiadaniu napotykały fatalne samooskarżenia kombinatorów, przypominające w sformułowaniu mowę prokuratora sądu ludowego. Posłuchajmy rozmowy Czerwinskiego z Przemyskim: „Mówisz, że jestem tajdak. To dobrze. Tacy ludzie u Maciagu i u ciebie są w cenie. Inni z wami nie chcą iść. Coż ja na to poradzę (...). Przeglądniesz, więc nie możesz przebiec w ludzkości... Kto przegrał? — spytał szorstko Przemyski (...). Wiesz kto. Ty, Maciagu... Wiedząc, że nie uciekasz, nie idziesz gdzie pieprz rośnie, lecz pętasz się koło nas? — Dlaczego? Dla tego samego, dla czego wy prowadzicie dalej przegrana sprawę. Bo bez niej byłobyście skazani na uczciwą pracę własnych rąk i mózgów i na rzetelną zapłatę. Wolicie liczyć na zdobycie pieniędzy i władzy kosztem innych. I na to liczyć... A ty? — Ja też... przy was — zakończył szeptem Czerwinski. Wzajemne wytykanie sobie win i ciemnych machinacji nie jest rzeczą niezwykłą w środowisku emigracyjnym. Nagły przypływ wyrzutów sumienia Czerwinskiego wydaje się jednak co najmniej nieprawdopodobny psychologicznie. Charakterystyczne postacie pozytywne przedstawicieli robotniczej emigracji, która niegdyś wygnała z kraju głód i bezrobocie nie ustąpiły się natomiast autor od deklaratywizmu i schematycznej ogólnikowości, które obniżają wyrazistość postaci bohaterów robotniczych Ikszy.

Opowiadanie „I tak można żyć” — napisane z dużą pasją pisarską jest chyba najlepsze w książce, celnie demaskuje machinacje emigracyjnych wykołajców.

✱

Opowiadanie „Listy” nazwałbym opowiadaniem niewykorzystanych możliwości. W znanej z prasy historii wysłania w siedemdziesiąt rocznicę urodzin towarzysza Stalina, listu od wdowy po robotnika, matki żołnierza francuskiego, zabitego w Vietnamie — kryją się wielkie możliwości stworzenia dobrego, wstrząsającego obrazu literackiego. Niestety jednak autor możliwości te w przeważnej mierze zaprzepaścił. Opowiadanie to jest swego rodzaju przeciwieństwem tytułowego. O ile tam raziły zbyt sensacyjne elementy akcji (np. sprawa prowokacji z bombą zegarową w fabryce) i pewne dłużyzny, o tyle tutaj razić musi przewaga publicystycznie ujętych elementów opisowych. A szkoda, gdyż niektóre obrazy, zwłaszcza w poprzednim opowiadaniu, świadczą o dużych możliwościach autora w tym kierunku.

Autor niepotrzebnie wyciżył w ramy krótkiego opowiadania bogaty materiał zawarty w biografii bohatera. Pociągnął to za sobą konieczność ogólnikowego, niezbyt interesującego literacko relacjonowania całych partii życiowych bohaterów. Poważną usterką utworu jest także brak indywidualizacji języka bohaterów, utrzymywanie zarówno komentarzy odautorskich jak i partii dialogowych w tonie przemówień wiecowych. „Hitlerizm został pokonany jako jedna z form faszyzmu — odpowiadał Karol — ale faszyzm wciąż zagraża światu... Walka się zaostrza. Klasa robotnicza jest coraz silniejsza i burząca, chwytając się metod faszyzowskich musi coraz energiczniej bronić władzy, aby utrzymać ją jeszcze choć przez pewien czas. Dziś już jednak obie strony wiedzą, jak się ta walka skończy. Stare nie może zwyciężyć” — w ten sposób przecięł nawet najaktywniejszy członek KPP nie tłumaczył sytuacji politycznej staruszcze — matce.

Książka Pytlakowskiego, ambitna w swych zamierzeniach naszkicowana obrazu walki klasowej współczesnej Francji, obciążona jest wieloma błędami, zaskakującymi w twórczości autora „Fundamentów” — książką mimo wszelkich usterek porównującą, która odegrała w swoim czasie istotną rolę w kształtowaniu przełomu we współczesnej literaturze polskiej. Szczególnie groźna wydaje się tu rezygnacja z bogactwa życiowych obserwacji, z wnikliwej analizy psychologicznej wzrost publicystycznego ujęcia problematyki. Zwrot do tematyki francuskiej, z konieczności mniej znanej polskiemu pisarzowi, niż życie własnego kraju, nasilił, jak się zdaje, ogólnikowość i schematyzm opowiadań Pytlakowskiego.

Józef Rurawski

TADEUSZ MURAS

EPOPEJA CHIŃSKIEJ REFORMY ROLNEJ

W ŚRÓD książek wyróżnionych Nagrodą Stalinowską za rok 1951 znajduje się powieść chińskiego pisarza Czong Li-bo pt. „Huragan”. Jest to książka zasługująca u nas na specjalną uwagę i niewątpliwie na jak najrychlejszy przekład — stanowi ona bowiem najpiękniejszą i najbogatszą jak dotąd, epopeję chińskiej reformy rolnej.

Autor „Huraganu” urodził się w 1909 r. jako syn nauczyciela w prowincji Jan Hunau. W 1927 r. wyjechał na studia literatury chińskiej do Szanghaju. Tam zetknął się po raz pierwszy z literaturą rosyjską i radziecką. W 1932 r., gdy Japończycy zajęli Szanghaj, Czong Li-bo dostał się na dwa lata do więzienia za działalność rewolucyjną. Po wyjściu z więzienia Czong Li-bo wstąpił do Ligi Pisarzy Rewolucyjnych, którą kierował wielki pisarz narodu chińskiego Lu Sun. W czasopiśmie Ligi Czong Li-bo ogłosił pierwsze swoje prace z zakresu literatury i językoznawstwa. Po rozbięciu Ligi przez policję Czong Li-bo wstąpił do Armii Czerwonej. Przez kilka lat od 1939 r. wykładał nie wydziale literatury Akademii Literatury i Sztuki im. Lu Suna w Jenanie. W 1946 r. opublikował tłumaczenie powieści Michała Szolochowa „Zaorany ugor”. Krytyka radziecka z dumą podkreśla wpływ Szolochowa na twórczość Czong Li-bo.

„Huragan” to debiut powieściowy Czong Li-bo. Powieść ta powstała podczas gorączkowych prac nad przeprowadzaniem reformy rolnej na wsi mandzurskiej; pisarz był uczestnikiem jednej z brygad kierujących akcją. „Huragan” ukazał się w 1947—48 r. przynosząc autorowi ogromną sławę. W chińskim wydaniu utworu ten, jak informuje przedmowa do tłumaczenia rosyjskiego, posiada wiele dłużyzn, cechuje go czasem brak zwięzłości kompozycyjnej. W skróconym tłumaczeniu na język rosyjski niedostatkami te zniknęły zupełnie; ta wersja powinna się stać zatem podstawą do jak najrychlejszego tłumaczenia na polski.

Tematem powieści Czong Li-bo jest przeprowadzenie reformy rolnej w jednej z mandzurskich wsi. Polskiego czytelnika zdziwi niewątpliwie wstępne rozdziały pierwszego tomu powieści. Brygada, która przyjechała dla przeprowadzenia reformy rolnej wsi Juanmaotum, nie przystępuje przez długi okres czasu do likwidacji majątku miejscowego obszarnika i rozdziału ziemi. Brygada zajmuje się natomiast agitacją wśród najbiedniejszej ludności. Tworzy się organizacja związkowa w której najbardziej aktywni ludzie we wsi zaczynają mówić o swojej krzywdzie i uświadamiać sobie możliwości likwidacji i przejęcia obszarniczego majątku. Wszystko to dzieje się w tym samym czasie, kiedy obszarnik Haa tao-lin mieszka nadal we wsi i przeciwdziała aktywnie działalności agitatorów. Rychło jednak zostanie temu położony kres.

Taka była taktyka Partii w prze-

O DRODZE POWROTNEJ

(dokończenie ze str. 5)

rzewania ideowego Jacka pod wpływem reprezentowanej przez ojca i jego towarzyszy Partii, trudna kwestia ilości emigrantów do ojczyzny, w której zabrakło dla nich chleba, sprawa nowych perspektyw drogi powrotnej, otwartych przed uchodźstwem przez Polskę Ludową. Autor, jak to często bywa, chciał za wiele na raz powiedzieć. Powoduje to zwykłe niedomogi artystyczne deklaratywizmu i niepełnego pogłębienia tematyki; w książce dla młodzieży stwarza niebezpieczeństwo obniżenia dynamizmu akcji. Jednakże „Jacek Kula”, o ile nie zadołuje młodego czytelnika jako całość, przykuje niewątpliwie jego uwagę, rozpal serce i wyobraźnię całym szeregiem interesujących fragmentów, które — traktując je jako poważną pochwałę — godne są znaleźć się w wypisach dla młodzieży szkolnej.

Książka wydana została bardzo starannie: świetne ilustracje Kobdej, dobry druk i nienaganna korekta. Jedno małe zastrzeżenie: przypisy. Nie wiem, czy pochodzą one od autora, czy od wydawcy. W każdym razie w sposób znamieny odbiło się tu niedookreślenie adresu czytelników. Przepis objaśniający, że Maurice Thorez jest sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Francji, przeznaczony został dla całkiem chyba małych dzieci, pozostawienie zaś do uznania czytelników wymowy nazwisk francuskich i innych obcych świadczyłoby o liczeniu się z czytelnikiem starszym.

Witold Billip



prowadzaniu reformy rolnej w Chinach. Reformy realizowała tu miejscowa ludność pod kierownictwem i kontrolą komunistów. Ta metoda walki z obszarnictwem dała wspaniałe rezultaty. W walce z miejscowymi obszarnikami ludność wsi brała na siebie pełną odpowiedzialność. Wzięła swój los z tymi reformami i, co najważniejsze, w konsekwencji spręgała na zawsze swoje życie z losami Chińskiej Armii Czerwonej, zmagającej się z wojskami Czang Kai-szeka; amerykańskich imperialistów.

Taki wybór tematu, jego epickie ukształtowanie artystyczne sprawiły, że „Huragan” — przy olbrzymim bogactwie postaci i realiów życia chińskiego wsi — obrazuje w sposób pełny i przekonujący proces dojrzewania świadomości chińskiego chłopstwa. To jest właściwie Czong Li-bo, która dlatego przede wszystkim zasługuje na przekład, że proces dojrzewania klasowej świadomości wsi jest równie doniosły i aktywny we wszystkich krajach zmierzających do socjalizmu. Czong Li-bo ukazuje wspaniałe, trudne prace awangardowej brygady od najtrudniejszych początków (kiedy na pierwszym zebraniu chłopcy Juanmaotum zgodzili się skwaślić, że trzeba z obszarnikami walczyć, ale w tym celu należy się udać do sąsiednich wsi, bo w Juanmaotum obszarnik... jakoś nie widać) poprzez pierwsze przeżycia świadomości klasowej biedoty chińskiej, aż do ostatecznego porachunku z obszarnikiem.

Czong Li-bo ukazuje, jak rośnie rewolucyjna świadomość człowieka przez głęboką, twórczą zastanowienie się nad własnym losem, zmierzanie ogromu donianych krzywd i upokorzeń. Dlatego w pierwszym tomie ogromną rolę odgrywa częste, interesujące dysgresje w formie opowiadań bohaterów, ich wspomnień z lat udręki i potwornego uci-

sku. Opowiadania te dostarczają ogromnie bogatego materiału do poznania przeszłości chińskiego chłopstwa, jego wytrwałych marzeń o lepszym życiu, które zrealizowała Chińska Republika Ludowa. Głęboka rewizja własnego życia budzi bunt przeciwko starym porządkom; gruntują się nowe przekonania, utwierdza przywiązanie do władzy ludowej. Najbardziej poruszające w „Huraganie” są właśnie obrazy rewolucyjnej inicjatywy chłopów, pobudzonej i kierowanej przez Partię. Czong Li-bo nie szczędzi oczywiście także dowodów trudności i zahamowań procesu dojrzewania klasowego. I tak np. dwukrotne aresztowania miejscowego obszarnika nie przyniosły koniecznej konsekwencji: wsi w swojej większości nie dojrzała jeszcze do rewolucyjnego sądu nad swoim ciemiężcą; daje się nawet widać na lep udanej skruki obszarnika. Ale wsi powoli wyzwała się z tych wiekowych obciążeń świadomości, by wreszcie własnymi rękoma przeprowadzić likwidację obszarnictwa i konsekwentną reformą rolną, wzięć na siebie pełną odpowiedzialność za dokonane przemiany.

I jeszcze jedno osiągnięcie „Huraganu” zasługuje na wydobycie. Autorowi udało się stworzyć kilka pięknych i przekonujących postaci bohaterów pozytywnych: na czele „brygady”, przeprowadzającej reformę rolną; ludzi walczących o swe wyzwolenie wsi Juanmaotum. Czong Li-bo przekonująco zarysował proces wzrostu ich świadomości rewolucyjnej, ich wartości moralne, hart i odwagę rewolucjonistów, bohaterów ludzi, walczących o lepszą przyszłość.

Z tych wszystkich względów „Huragan” trzeba uznać za książkę w Polsce Ludowej bardzo potrzebną i z niecierpliwością oczekiwać jej polskiego tłumaczenia.

Tadeusz Muras

RYNEK — REGULUJĄCA ROLA PAŃSTWA — INTERESY CHŁOPÓW

(dokończenie ze str. 1.)

część zarobku, pozbawio go nadziei na stabilizację rynku, a tym samym przy anarchoi cen, które odbierały realną wartość pieniądza zarobkowym w wysiłku pracy, osłabiały bodźce do podnoszenia tempa produkcji przemysłowej.

„Ale się przeliczyli. Bo treścią procesu wyrastania nowych warunków ekonomicznych był stały postępujący wzrost produkcji przemysłowej. (W 1950 r. — o 8 proc. ponad Plan, w 1951 — o 13 proc. w 1952 — o 16,8 proc. wg przewidywań. Przyspieszenie wykonania 6-letniego Planu na koniec 1952 r. wyniesie już na 3,5 miesiąca). Był stały postępujący wzrost układu socjalistycznego w rolnictwie (rozwoj POM-ów, umocnienie PGR-ów, przyrost spółdzielni produkcyjnych). W rolnictwie indywidualnym rok suży nie dał pełnego planu, ale rok 1952 poprawił sytuację i przyniósł nagromadzenie rezerwy.

Te właśnie osiągnięcia nowej ekonomiki pozwoliły na wyłączenie pełnych konsekwencji ze wskazań Bolesława Bieruta „że spójnia gospodarstwa między klasą robotniczą i chłopstwem, będąca podstawą spójni politycznej tych klas, podstawą sojuszu robotniczo-chłopskiego — może się wzmocnić i rozwinąć tylko w warunkach ograniczenia elementów kapitalistycznych, a natomiast narażona jest na niebezpieczeństwo w warunkach odradzania się i wzmocnienia tych elementów”.

Uchwała Rady z 3 stycznia br., wprowadzając reformy obrotu towarowego i regulację cen, otworzyła nowy etap dla tych właśnie warunków ekonomicznych, jakie w walce o wzrost produkcji, w walce z elementami kapitalistycznymi wsi i miasta, powstały w wyniku ofiarnych wysiłków klasy robotniczej i pracujących chłopów.

✱

Reforma obrotu towarowego, zadekretowana Uchwałą Rady, znosi

dotychczasową reglamentację podstawowych artykułów konsumpcyjnych i rozszerza obrót wolnorynkowy na nadwyżki towarowe, jakie pozostają w gospodarstwie chłopskim po wykonaniu obowiązkowych dostaw. Reforma stwarza więc bodźce dla chłopstwa do zwiększenia produkcji. Wprowadza go na wolny rynek, zaspakajając te jego dusze, którą nazywamy „duszą posiadacza”, sprzedawcy i nabywcy.

„Ale ten wolny rynek nie jest już rynkiem Bilińskich. I nie może nim być, skoro wraz z wprowadzeniem nań mało i średniorolnych, wymini z niego właśnie Bilińskich i miejskich! Na rynku tym decydującym składnikiem staje się produkcja ekonomicznego układu socjalistycznego. Decydującym kupcem — przedsiębiorstw handlu państwowego i spółdzielczego.”

Te dwa czynniki — towar socjalistyczny i handel socjalistyczny — będą towarzyszyły na wolnym rynku towarowi chłopskiemu i chłopskiej sprzedaży, z której bezpośrednio skorzysta konsument. Nie jest to więc poprzedni wolny rynek, na którym rolę regulującą pełnił w stosunku do konsumenta i chłopca, próbującego dowieźć towar — spekulanta i paskarza-kulaka, hulajęcego cenami dla wyższości i dezorganizacji rynku, dla wytrącenia z równowagi każdej stabilizacji. Regulującą rolę i tutaj zdobywa państwo ludowe, umacniając w chłopie te dusze, którą zwieemy „duszą człowieka pracy”. Przepisy Uchwały Rady określają sposoby i środki dla podporządkowania żywnościowego prawa wartości prawu proporcjonalnego rozwoju gospodarki narodowej, to znaczy, że dzięki regulującej roli państwa na wolnym rynku prawo wartości i produkcja towarowa będą służyć interesom społeczeństwa budującego socjalizm.

Wprowadzenie Uchwały w życie oznacza w ekonomice:

— możliwość skutecznego ograniczenia akumulacji kapitalistycznej,

Kronika radziecka

NAUKI ZJAZDU

„BYŁOBY” niestety, gdybyśmy dostrzegali wielkie sukcesy nie wdziali poważnych niedociągnięć w rozwoju nowej literatury i sztuki. Idzie o to, że mimo znacznych sukcesów w rozwoju literatury i sztuki poziom ideowo-artystyczny wielu twórców wciąż jeszcze nie jest dostatecznie wysoki. W literaturze i sztuce pojawiają się jeszcze wiele mniemych, banalnych, a niekiedy wręcz tandemnych utworów, które fałszują obraz rzeczywistości radzieckiej”.

Te słowa krytyki, wypowiedziane przez tow. Malenkowa na XIX Zjeździe KPZR w trosce o dalszy rozwój literatury radzieckiej, godnej dotychczasowych arcydzieł i podniesionego poziomu kultury radzieckiego społeczeństwa, zainicjowały wśród pisarzy radzieckich żywe narady i dyskusje.

Wyżej poziom ideowy literatury! Pod takim tytułem „Literaturnaja Gazieta” drukuje sprawozdania z dyskusji twórczych w gronie pisarzy partyjnych Moskwy i Leningradu.

Obrazy stwierdziły niedostateczny związek twórców z wielkimi budowlami komunizmu. „Jednakże i bezpośrednia obserwacja życia i badania życia przez pisarzy — powiedział jeden z dyskutantów — jeszcze nie dają gwarancji, że pisarz nie popełni omyłek i nie da powierzchownego naświetlenia rzeczywistości. Pisarz powinien głęboko badać OBIĘKTYWNE PRAWA ROZWOJU NASZEGO SPOŁECZEŃSTWA, nieustannie opanowywać teorię marksizmu-leninizmu.”

PLANY WYDAWNICZE NA 1953 ROK

W NOWYM roku produkcja książek zostanie zwiększona prawie o dwadzieścia milionów egzemplarzy. M. in. Państwowe Wydawnictwo Literackie („Goslitizdat”), „Radziecki Pisarz”, „Młoda Gwardia”, „Wydawnictwo Państwowej Literatury Dziecinnej” („Dietiz”) dadzą ponad tysiąc tytułów dzieł i ogólny nakład dwustu milionów egzemplarzy. Pojedyncze wydawnictwa zwiększą swoją produkcję o 15—20 procent.

„Goslitizdat” wypuści 78 tomów dzieł klasyków rosyjskich jak Czerwinski, Gogol, Ostrowski, Tolstoj, Gorki, Korolenko, Sibirski, Uspienski oraz szereg utworów klasyków radzieckich jak Pawłenko, Wisniewski, Leonow, Biednyj. Wyjdzie jednodotomowy wybór Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa, Gribojedowa, Żukowskiego, Leskova, Staniukowicza i Kuprina. Ukazą się także liczne książki z literatury obcej m. in. Don-Kichot z ilustracjami Kukryników, jednodotomowe wybory z Szekspira, Zoli, Twaina, Bernarda Shaw’a. Literatura krajów demokratycznych będzie reprezentowana 50 przetłumaczonymi dziełami.

Wydawnictwo „Radziecki Pisarz” zapowiada w swoim katalogu 73 procent nowości. Duża ilość powieści podejmujących tematykę z życia klasy robotniczej. A więc ukazą się: A

A. Czarkowski zwrócił uwagę na braki w zakresie krytyki, która nie posiada właściwej bojowej inicjatywy i zadowala się przeciętnymi osiągnięciami. Krytyka „gromi”, napomina o szkodliwości teorii „braku konfliktów” w rzeczywistości radzieckiej, a nie pomaga pisarzom przez uzależnianie szczegółowych rad. Partia słusznie wyklęła nieuwagę satyry. Potrzebni są nowi gołogłowi i szczerzy, krytycy literatury powołujący na bez końca, a tymczasem pisarz potrzebuje już czegoś innego — konkretnego rozpracowania, czego należy uczyć się od Gogola i Szczadina”.

Konferencja dostrzegła błędy w pojmowaniu zagadnienia typowości. Pisarze niektórzy (m. in. W. Groszman) w powieści „O słuszną sprawę” mylnie utożsamiają typowe z powszechnym, na skutek czego bohaterowie stają się standardowi, podobni do siebie, pozbawieni żywej i nie przemijającej indywidualności.

Sprawie sekcji twórczych poświęcił m. in. swoje wystąpienie A. Surkow „Jeżeli trzysta siedzących tutaj komunistów — powiedział Surkow — nie będzie poczuwać się do tego, że praca w sekcjach, to ich święty obowiązek, ich powinność jako organizatorów społecznej opinii literaturnej — żaden sekretariat nie nie zrobi!”

Z radzieckich konferencji pisarskich wypływają doświadczenia o raz wnioskami i dla stosunków literackich w krajach demokracji ludowej, m. in. w Polsce. W równym stopniu powinno obowiązywać nas przeniesienie wskazań Zjazdu na teren naszej literatury i ciągle zgłębianie praw marksizmu-leninizmu.

Pierwocena „Moskwa”. W Kietlinskiej „Dzień naszego życia”. O. Ziera „Gorąca godzina”. A. Wolszyna „Dalekie góry” i inne.

Tematyka wielkich budowli komunizmu, dotąd reprezentowana zaledwie przez jedną powieść K. Pawłowskiego „Narodzinny morza”, w roku wydawniczym 1953 będzie liczyła wiele pozycji. M. in. ukazą się powieści A. Rybakowa „Katarszyna Woronina”, W. Fomenki „Tama”, A. Jugowa „Wielka droga”, J. Pomożowa „Lato w Żygułach”.

Sprawy wsi kolchoźniczej, walki o pokój znajdują swoje odzwierciedlenie w zapowiadanych powieściach J. Kutenki (Kolchoźnicy), Armena (Juswa), G. Słanowa (Wolność), A. Wasilewicza (Drogi-Szlaki).

Ciekawą inicjatywę podjęło wydawnictwo „Młoda Gwardia”, które typowe do wydania w nowym roku specjalny rodzaj publikacji pt. „Pierwsza książka młodego autora”. Seria ta przyniesie 24 nowych nazwisk rosyjskich pisarzy radzieckich i pisarzy bratnich republik. Debiutanci opowiadają o życiu młodzieży radzieckiej: A. Tunicki (Spotykamy się na Wodzie) o udziale młodzieży w wielkich budowlach komunizmu, A. Stiepanian (Złoty medal) o życiu szkoły, N. Muratow (Źródło szczęścia) o młodych radzieckich sportowcach E. Wiks (Ludzie jednej prawdy) o młodzieży radzieckiej Łotwy. Innowacją będzie także zaprojektowany „Almanach młodej gwardii”, skupiający oddzielne utwory młodych autorów.

W związku z planem politechnizacji w zakresie wykształcenia, ogłoszonym na XIX zjeździe KPZR, „Dietiz” przygotowuje serię 83 naukowo-popularnych i naukowo-fantastycznych książek. Każda będzie zawierała do 20 — 25 artykułów druku i zostanie wydrukowana w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. Tytuły: Młody elektrotechnik, Młody przyrodznawca, Zrób sam itd. W zakresie literatury artystycznej młodzieży czytelnicy otrzymają szereg powieści na temat młodzieży przemysłowej i fabrycznej m. in. N. Dubowa „Powieści o młodych metalowcach”, Likstanowa „Pierwsze imię”, I. Mettera „Towarzysze”. Powieści te pozwolą młodzieży zapoznać się bliżej z zagadnieniem kwalifikacji w zakresie zawodu.

Poważne miejsce w planach na 1952 rok zajmuje krytyka. M. in. ukazą się prace W. Jermitowa o tradycjach i nowatorstwie radzieckiej dramaturgii, J. Elsbęrga o dziedzinie Gogola i Szczadina, S. Pietrowa o radzieckiej powieści historycznej, S. Byczkowa rozprawa o Lwie Tołstoj, monografia o Czernyszewskim.

Ogłoszenie planów wydawniczych w ZSRR przynosi wieloraką korzyść: podaje plan pod krytykę opinii czytelników i pozwala czytelnikowi zawnoszącemu się do oceny w oczekiwaniu go lekturze. NALEŻAŁOBY TEN ZWYCZAJ WPROWADZIĆ W POLSCE.

Grzegorz Timofiejew

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-cy stycznia br. urzędy pocztowe oraz listonosze więcej i więcej przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca, na miesiąc następny i okresy dalsze.

STROŻEK

